



REAKTOR



Nr #7 (Lipiec 2009)

POLSKI ZIN POSTAPOKALIPTYCZNY

SCENOWE EKIPY MAJĄ GŁOS.

STREFA
KB

BOB
&
ZONE

CHORWACJA

POSTAPOKALIPTYCZNY
PRZEWODNIK HOTELOWY.

CYCKI

NA PUSTKOWIACH
GDZIE RADIACJA NIE MOŻE,
TAM BABĘ POŚLE.

WIRUS

ALKOHOL DOBRY
NA WSZYSTKO.



SPIS TREŚCI

Wstępniak

Drodzy czytelnicy!.....2

Opowieści z krypty

Cudowne dzieci IV.....3

Pogoń.....6

Wirus.....13

Holodysk

Życie pod ziemią II.....14

Cycki na Pustkowiach.....20

Pokolenie B-52.....23

Oświeł to!.....25

Radosny dzikus.....27

Strefa KB

Jeźdźcy bez koni.....28

Police.....30

Wyprawa 44 Wyspy.....33

BoB Zone

Statut.....35

Zakonki 2008.....35

Revrael – Intro.....37

Recenzje

Chłopiec i jego pies.....40

UltraViolet.....41

Fotoplastykon

Chorwacja.....42

Drodzy czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce ostatni już numer Reaktora. Natłok obowiązków i inne czynniki i czynniki sprawiły, że nie jesteście już w stanie poświęcać znowu tyle uwagi, na ile zasługuje. W związku z tym żegnamy się mając nadzieję, że czas, który poświęciliście lekturze nie był czasem straconym.

Chciałbym bardzo gorąco podziękować zarówno tym, którzy aktywnie uczestniczyli w tworzeniu Reaktora, jak i tym, którzy po prostu chcieli spędzić z nim kilka przyjemnych chwil. Bez Was by się to nie udało! Dziękuję również patronom medialnym, którzy dbali o promocję i propagowanie zina w naszym środowisku i dali mu miejsce na swoich serwerach, a także ogółowi społeczności postapokaliptycznej za ciepłe słowa i wsparcie.

A co przygotowaliśmy na pożegnanie? Największą nowością są chyba kąciki najbardziej znanych ekip działających na scenie postapo: Brotherhood of Beer i Kawalerii Berg. Dowiedziecie się co nieco o tym kim są, gdzie bywają, jakie są założenia ich działalności. W Strefie KB zobaczycie też grafiki autorstwa Case przygotowane specjalnie na tę okazję.

Apetycznym kąskiem jest artykuł Dorotki o intrygującym tytule: „Cycki na pustkowiach” analizujący role jakie pełnią kobiety w literaturze i filmie postapokaliptycznym. Warto również zapoznać się z felietonem Nathaniela na temat niekonsekwencji w fabułach postapo, poznać dobroczynne działanie alkoholu w opowiadaniu Kamilosa: „Wirus”, a także poszerzyć wiedzę o bombowcach B-52 i źródłach oświecenia w artykułach naszego specja od technikaliów – Squonka.

W dziale recenzji na ring powraca zaś Szpon wspierany przez niezawodnego Saladyna.

Ostatni numer to właściwa pora na zamykanie cykli, nie zabraknie więc i tego. W Opowieściach z Krypty znajdziecie opowiadania Saladyna i An_ge kończące historię, która towarzyszyła nam niemal od początków istnienia Reaktora. Swoją finał znajdują również rozważania Rawdana na temat kluczowych czynników przy budowie podziemnego Vaulta.

Za wizualną stronę zina wielkie podziękowania ponownie należą się Case, która, poza wspomnianymi już grafikami w Strefie KB, udostępniła nam również ilustrację na okładkę, a także zapełniła Fotoplastykon fotkami ze swej zeszłorocznej wyprawy do Chorwacji.

I... to w zasadzie tyle. Dziękujemy raz jeszcze za wspólnie spędzony czas i do zobaczenia przy następnej okazji. ☺

Wolv

REDAKCJA ZINA



REDAKTOR NACZELNY:

Paweł "Wolv" Awdejuk

RE(D)AKCJA:

Grzegorz "Czechu" Polak
Tomasz "Deat(c)hclaw" Łobos
Kamil "Kamilos" Banul
Marek "Squonk" Rauchfleisch

WSPÓŁPRACA:

Angela "An_ge" Przybyłek
Agnieszka "Case" Gumkowska
Grzegorz "Chewie" Mazur
Dorotka Jędrzejewska
Adam "Nathaniel" Huelle
Michał "Rawdan" Rawdanowicz
Bartosz "Revrael" Małyszko
Michał "Saladyn" Misztal
Patrik "Smoq" Soczyński

OKŁADKA:

Agnieszka "Case" Gumkowska

SKŁAD:

Piotr "DoPr" Szatan

PATRONAT MEDIALNY:

Fallout Corner, Outpost, Shamo, Trzynasty Schron

Cudowne dzieci IV

**Tata patrzył przez zabrudzoną szybę,
na inkubatory po drugiej stronie.
Był szczęśliwy. Był dumny. Był...
I wtedy wpadli Oni.**

Trudno, niezwykle trudno, było znaleźć paczkę fajek w dzisiejszych czasach. Obojętnie jakich. Daniel zapalił ostatniego papierosa jakiego posiadał. Ostatnio palił więcej. W paczce regularnie ubywało tytoniu, odkąd poznał Monicka i tego jej faceta.

– Gdzie teraz?

Kobieta uniosła głowę znad starych map. Ignorując go, zapytała stojącego obok Ghulę w pomietym, niebieskim kostiumie.

– Jesteś pewien, że to dobre plany?

– Hej! Pytałem o coś! – wtrącił się Daniel.

Odwróciła wzrok od postaci będącej w zaawansowanym stadium rozkładu, w stronę wynajętego człowieka. Ze stoickim spokojem wytrzymał jej świdrujące spojrzenie, zaciągając się powoli.

Miała czarne oczy i ciemne, długie włosy. Smukłe nogi opinały skórzane spodnie i połatany sweter. Nosila przewieszony przez ramię karabinek. Niewiele mówiła, choć głos miała ładny. Nawet bardzo ładny, w porównaniu do jego pozostałych towarzyszy, zapijaczonych skautów starej doby.

– Na północy nic nie ma. Nic prócz połaci suchego piachu który wlaty w miejsca, o których istnieniu nie miało się pojęcia.

– Nie kierujemy się na północ. – odpowiedziała, ponownie pochylając się nad papierami.

– To...?

– Jeśli stwierdzę, że powinienś wiedzieć, wtedy dam ci znać.

Dotąd stał oparty o resztki muru, z jedną stopą opartą o wystające cegły. Teraz zbliżył się do niej i oparł dłonie o prowizoryczny stół.

– To, że nie wiemy kim jesteś i skąd przybywasz, to pikuś. To, że nie wiemy dokąd zmierzamy i czy jesteś wypłacalna, o tak, to już zaczyna nas obchodzić – syknął.

Nie był złotodziebem, nie był też głupi, a bronią posługiwał się całkiem zręcznie. Jednak jakim cudem ostrze noża nagle znalazło się przy jego szyi, tego nie był w stanie wyjaśnić. O mały włos nie wypuścił peta z ust. Ghul, przestraszony, odruchowo się cofnęła. Nie wyglądał na przyzwyczajonego do widoku broni. Albo jakby do niej miał awersję.

– Jesteście najemnikami. Macie wypełniać rozkazy, a nie zadawać pytania – potrafiła się naprawdę miło uśmiechać w zaskakujących sytuacjach.

– Coś nie tak? – zapytał nieogolony mężczyzna, zjawiając się błyskawicznie przy jej boku.

Obaj popatrzyli na siebie z niechęcią.

– Wszystko w porządku – mruknęła – Zawiadom ludzi, że czas postoju dobiegł końca.

– Jesteś pewna?

– Nie.

– To czemu tam idziemy?

– Bo chcę być – narzuciła na grubym sweter szeroki, zniszczony płaszcz.

– Wiesz, jest takie powiedzenie: "Im dłużej zwlekasz z tym, co masz do zrobienia, tym większa szansa, że ktoś cię wyręczy".

Nie odniosło to na niej żadnego skutku. Westchnęła i sięgnęła po papierosa. Nie mógł jej powiedzieć tego, co wiedział. Raz, że by mu nie uwierzyła, dwa, że gdyby jednak uwierzyła, to miałby przeżyć.

– Daniel w końcu zauważył, że podpierdasz mu używkę – stwierdziła.

On też się nie przejął.

– Możesz mi jeszcze raz wytłumaczyć, czemu chcesz to zrobić?

– Potrzebne mi są informacje o przedwojennym laboratorium, gdzie przeprowadzano eksperymenty genetyczne na dzieciach.

Parsknął.

– Wiesz, że nie o tym mówię.

– Więc? – sprawdziła sprzączkę paska.

– Na co ci te informacje?

Stał przed nią, z rękami w kieszeniach, bujając się lekko na obcasach butów. Nie był przystojny, ale miał w sobie "to coś" co przyciągało kobiety. Także ją.

– Jedno z tych dzieci weszło mi kiedyś w parade. A potem kolejne, żadne zemsty. Ledwo uszłam z życiem. Nie będę czekać na następnego świra. Chcę to wyjaśnić. Bez przelewu krwi.

– Swojej czy cudzej? Chyba nie odezwało się w tobie sumienie, co?

Zbliżyła się do niego.

– Nie musisz...

– Co? Iść z tobą?

Potaknęła.

– Heh, nawet nie wiesz jak się potwor nie nudziłem, nim poznałem ciebie. Ma mnie ominąć taka heca? No coś ty – uśmiechał się szeroko, mimo, iż mówił poważnie. Nie sądził, by miało grozić jej niebezpieczeństwo większe niż to z którym mogłaby sobie poradzić, lecz wołał mieć pewność. Wołał jej towarzyszyć.

– Jesteś złodziejem, nie zabijaką...

Roześmiał się i zgasił papierosa.

– Kotku, w tych czasach każdy jest każdym po trochu.

Wręczyła mu opakowanie czerwonych pigulek.

Uniosła ręce w geście pokoju. Po gniewnej acz cichej wymianie zdań, uczynił to samo. Ghule i tak podeszły do nich jak do głowicy nuklearnej.

– Czego?

– Hej, poparzeńcu, zwracasz się do kobiety, może tak trochę kultu... – zaczął mężczyzna, ale Monick mu przerwała

– Potrzebujemy informacji.

– Jakich?

– Na temat położenia pewnej...

– Nic nie wiemy – Ghul nawet nie starał się udawać, iż ją słucha.

Jej oczy niebezpiecznie się zwęziły, a głos nabrał ostrości.

– Zaprowadźcie mnie do Najstarszego.

– Niby czemu mamy to zrobić?

Pstryknęła palcami i w tym momencie zza załomów zniszczonych budynków wyłoniło się 6 uzbrojonych mężczyzn, celujących z broni w mutantów.

– Bo was ładnie proszę?

Wprowadzono ich do jednego z odra-panych budynków, z czerwonym szyldem reklamującym nuka-colę. Wokoło walały się jakieś papiery, prawdopodobnie plakaty, reklamujące jakiś przedwojenny serial. Tam kazano pozostawić na zdezelowanym stole uzbrojenie. Monick bez słowa odłożyła swój karabinek, a po chwili także Desert Eagle'a i nóż.

– Won z łapami! – fuknęła, gdy ręce jednego z Ghuli zbyt nachalnie chciały ją obmacać.

Piątka wynajętych drabów uśmiechnęła się kąciakiem ust. Dalsze przeszukiwanie wypadło już pobeżnie.

Daniel, szef bandy najemników, trochę się buntował, lecz bardziej chciał wejść z nią niż zostać przy swojej broni i ludziach. Nadal nie ufał w jej zapewnienie co do wypłaty. Rob wzruszył ramionami, podszedł do stołu i odłożył Pancor Jackhammera. Cierpliwie dał się obszukać. Kiedy zbliżył się do niej w drodze powrotnej, poczuła, że coś wrzuca do kieszeni jej płaszcza.

– Niepoprawny podpierdalacz cudzej własności – cicho skwitowała, wchodząc przez metalowe drzwi windy.

Zjechali na pierwsze piętro schronu. Pomieszczenie, skąpo umeblowane i zaciemnione, cuchnęło okropnie. Nic dziwnego, skoro zajmowało je osiem mutantów pamiętających mit powodu rozpoczęcia wojny.

– Ładnie, mają nawet radę starszyny – pomyślał, rozglądając się niedyskretnie.

Daniel tylko ostantacyjnie zatkał nos. Nie podobało mu się, iż musiał zostawić swoją dubeltówkę przed wejściem. Nie podobało mu się towarzystwo oddychających szczątków ludzkich, wyglądających jakby dopiero

co wyrzygał je deathclaw. Nie podobało mu się, iż...

– Kim jesteście i czego chcecie?
No właśnie. Dobre pytanie.

– Ta Krypta była przeznaczona dla naukowców.

Nie zaprzeczili, nie potwierdzili.

– Macie zamiary na wszystkie wojskowe laboratoria.

Truchła nawet nie drgnęły.

– Te dane są mi potrzebne.

Z racji tego, iż jej tak grzecznie nie przerywano monologu, kontynuowała

– Szukam informacji dotyczących... wirusa... zmieniającego dzieci w supermutantów nowego rodzaju...

W końcu racyli jej odpowiedzieć.

– Odejdź stąd. Nie dowiesz się niczego.

Rob z Danielem w osłupieniu patrzyli na nią, jak się posłusznie odwraca i wychodzi.

Gdy tylko drzwi windy się za nią zamknęły, błyskawicznie potraktowała dwóch Ghuli strażników uderzeniem od dołu nasadą otwartej dłoni i wcisnęła guzik z cyfrą 3. Rob o nic nie pytał, oparł się tylko wygodniej o ścianę. Daniel jednakże nie dał się zbyc milczeniem.

– Spotkałeś kiedyś naukowca pozbawionego ciekawości? A wręcz całą bandę? – ucięła jego pretensje.

– Ale żeby im się tak wpięrać bez broni?!

Nim zdołała mu cokolwiek odpowiedzieć, drzwi się otworzyły. W odległości kilkunastu metrów zobaczyli Ghulę, który właśnie rzucał coś w ich stronę.

Rob zareagował natychmiast. Złapał w locie metaliczny przedmiot wielkości kobiecej pięści i w mgnieniu oka odrzucił go z powrotem. Pociągnęła Daniela na podłogę. Granat wybuchł w powietrzu.

Otworzyła oczy. Albo w pomieszczeniu panowały egipskie ciemności, albo...

– Rob?

Ktoś obok jęknął.

– Rob!

Słyszała szuranie.

– Co kotku? O cholera...

– Co się stało?

Mężczyzna chwilę milczał. Pomachał jej dłonią przed oczami.

– Mam problem. A właściwie trzy.

Monick zamknęła powieki i przeczesła włosy.

– Niech zgadnę, to był granat plazmowy?

– Tak.

– I jestem oślepią?

– Tak.

– To co jeszcze nowego?

– Daniel nie żyje. A trupa naszego miotacza nie widać.

Pomógł jej wstać.

– Przynajmniej coś konkretnego zaczyna się dziać.

– Rob! Stój! – krzyknęła nagle, zaciskając dłoń na jego ramieniu.

– Co się stało?

– Co jest przed nami? Opisz! – była dziwnie podenerwowana. – Czy jest jakaś inna droga?

– Nie, czemu? Zwykły, pusty korytarz. Światło tylko trochę nawala.

Nie potrafiła wyjaśnić tego nagłego uczucia zaniepokojenia, przeczucia, że coś im zagraża.

– Może chcesz zawrócić? – zapytał z nadzieją.

Pokręciła przecząco głową.

– Więc chodźmy.

Nie uszli trzech metrów, gdy szarpnął ją w tył.

– Co jest? Co jest?!

Wzruszył ramionami, ale przypomniał sobie, że tego nie mogła zobaczyć.

– Nic.

– To czemu stoimy?

– Korytarz jest zaminowany.

– Od kiedy pułapki stanowią dla ciebie problem?

– Od momentu, gdy są tak dobrze ukryte, że o ich istnieniu dowiaduję się dopiero wtedy, gdy jedną uaktywnię.

Chwilę milczała, trawiąc podaną informację.

– Chcesz powiedzieć, że stoisz na minie?

– Chciałbym się mylić pod tym względem.

Odetchnęła głęboko, czując, że traci kontrolę nad sobą.

– Do sufitu przymocowane są małe haki. To chyba jedyna droga...

– Mam cię tu zostawić?! – przerwała mu z oburzeniem. Ślepotą zaczynała powoli mijać. Widziała już mdłe, pomarańczowe światło.

Przyłożył dłoń do jej policzka, próbując wyrzeć sobie w myśli rysy jej twarzy.

– Nie przeciągaj dramatu – roześmiał się – Podniosę cię tak, byś mogła dosięgnąć haków. Powinny wytrzymać twój ciężar. Pokieruję cię głosem.

Chciała zaprzeczyć, więc ją pocałował. Już dawno odkrył tę najskuteczniejszą metodę ucinania kłótni damsko-męskich.

– Dotarłaś aż tu, by się czegoś dowiedzieć, więc nie zawracaj teraz. Zresztą, zablokowałam drzwi windy. Sama ich nie rozbiorz, a ja nie zamierzam się stąd ruszać.

Do końca nie chciał powiedzieć o swojej małej wyprawie do bazy i spotkaniu z pewną Niemką.

– To nie jest sprawa warta mojej lub twojej śmierci – syknęła, zła na niego, że... W każdym bądź razie, bardzo zła na niego.

– Taa? – chwycił ją szybko w talii i podrzucił – Łap się!

Zawisła na metalowych hakach.

– Obiecuję ci, że wrócę tu i osobiście cię wykończę.

– Dobra, a teraz prawa ręka pół metra w prawo, naprzód! I lewa...

Zaczynała dostrzegać rozmyte kontury. Dalej jednak bardziej polegała na pozostałych zmysłach. Szła wzdłuż ściany, bardzo wolno i ostrożnie. Nie zawróciła słysząc wybuch w korytarzu, który przebyła „górką”. Zaciśnęła zęby i uparcie szła dalej. Po kilku minutach usłyszała dziwną muzykę i zniekształcone słowa "... what are you suppose to do, when you see the nuclear bomb flash? Duck and Cover!".

– Ktoś ogląda film... – pomyślała ze zdumieniem.

Poczuła odrażającą woń rozkładu i weszła w krąg jaśniejszego światła.

– Ty! Tty żyjesz! Kkim jesteś? – trwożliwy głos należał do bardzo starego Ghulę.

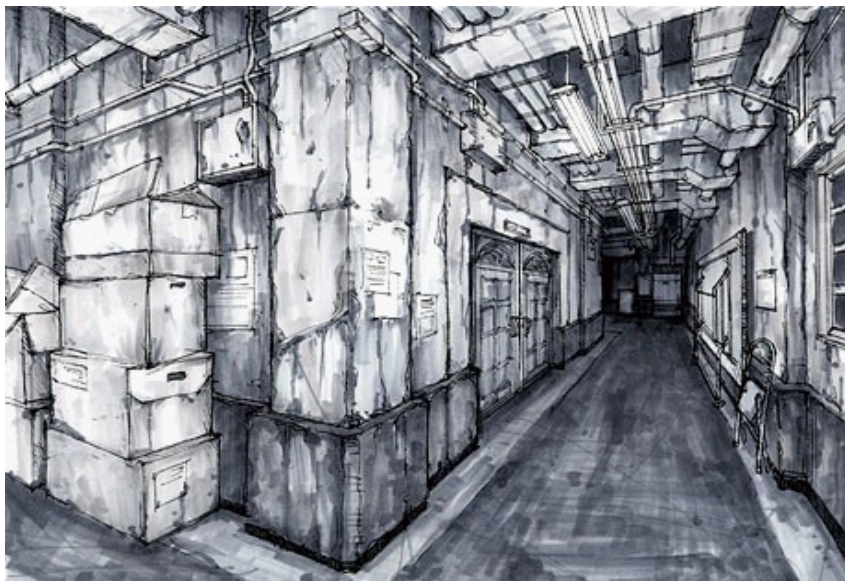
– Kopciuszkim. Szukam pantofelka. – matka opowiadała jej w dzieciństwie bajki na dobranoc. Chyba dostała by zawału, widząc położenie ukochanej córeczki i słysząc jej wyprany z emocji głos.

Ghul się przemieścił. Miała nadzieję, że skończyły mu się granaty.

– Pppo ccco?!

– Chcę pogadać. Chcę pogadać z kimś kto wie cokolwiek o zmutowanych dzieciach...

– Dzieci? Poznałaś moje dzieci? Wszyscy poznają moje dzieci! Moje dzieci! Małenkie...



– Super. Trafiałam na starego świra – westchnęła – A już zaczynała mieć nadzieję...

– Chodź, chodź! Pokażę ci moje dzieci! – oblesna ręka chwyciła ją i pociągnęła za sobą.

– A co mi tam – mruknęła Monick, dając się Ghulowi zaprowadzić.

Była zmęczona i czuła, że jeśli tylko przyjdzie okazja, to położy się i zacznie płakać. Była tylko kobietą. Zahartowaną w boju, pyską i odważną, lecz... tylko kobietą. Fetor zgnilizny się wzmógł. Jej zdolność widzenia się polepszała. Wolała by jednak tego nie widzieć...

Na stołach leżały stare szczątki zarówno ludzkie jak i zwierzęce. Krew dawno już szesniała, tworząc ciemne plamy na metalowych narzędziach chirurgicznych. Jednak rzecz okropniejsza pływała sobie spokojnie w wielkim zielonym zbiorniku pośrodku pokoju. Zmrużyła oczy, by dostrzec szczegóły.

– Pięknie, prawda? Pięknie! – wariat szczebiotał radośnie – Moje! Moje! Najdoskonalsze dzieło!

– Co? – spojrzała na niego, z obrzydzeniem.

– Dziewczynki wybuchają! Bum bum! Nie umiały się opanować... A oni znikali, znikali... nie umieli nad tym panować... źle źle źle... – bekotał bez składu i ładu – Synkowie! Bez woli walki! Za dobrzy! Za dobrzy! Nie zabijali!!!

Potała skronie. Czuła nadchodzącą migrenę. Reasumując, wychodziło na to, że z najgłupszych rzeczy jakie w życiu zrobiła, przyjęcie tutaj zajmowało pierwsze miejsce.

– ONI! ONI myśleli że zabrali wszystkie! Moje dzieci! Moje dzieci... – starzec ryknął płaczem, a zaraz potem zaczął się śmiać opętańczo – Ale nie! Ale nie! Nie nie nie nie nie! Moje najdoskonalsze dziecko zostało!

Zbliżyła się do zbiornika. Odzyskała już prawie całkowicie zdolność widzenia.

– O cholera.

To co uważała za kawał mięsa okazało się być niemowlęciem. Pozostawało tylko pytanie, JAKIM niemowlęciem. „Coś” miało krótkie, splecione futro i nienormalnie długie kończyny. Dwie pary oczu przesłonięte były grubymi powiekami, wyglądającymi jak fałdy skóry. Co więcej, „to” żyło! Widziała unoszącą się jednostajnie pierś.

– Dostanę Nobla – rozmarzył się szaleńiec – Moje dzieło, moje dziecko...

– To ty tworzysz te pieprzone mutanty?! Nie dość na tym świecie popaprańców?! – narastał w niej gniew – To przez takich jak ty giną porządni ludzie! To przez te wasze cholerne wirusy, przez...

Ghul przekrzywił głowę na bok i zaklaskał.

– Nie wirusy! Nie wirusy! Doktor Bartholomew się nimi zajmuje! Nie ja! Nie ja! Doktor Schmidt jest od cudownych dzieci!

– Barth... co? – chwyciła się za głowę, próbując wymyślić jakiś plan działania – Wariactwo...

– Wariactwo? – głos Ghula przybrał inną barwę – To jest Nauka!

Wolno odwróciła głowę w jego stronę. Stara gnida już nie wyglądała na szaloną. Wręcz przeciwnie. Dopiero teraz zauważyła, że to co Ghul ma na sobie, to mocno zabrudzony fartuch lekarski.

– To nauka powinna rządzić światem! Tylko nauka da światu zbawienie! Tylko dzieci nauki obronią ten świat! Ja jestem ojcem dzieci nauki! Ja! Nie ten Bartholomew, będę rządził światem! Jestem od niego lepszy! Jestem PIERWSZYM!

– Doktor Schmidt? – wybuchnęła śmiechem. Histerycznym jakby – Świat doskonale rządzi się sobą samym. Poza tym, jesteś JEDYNYM, nie pierwszym. Właściwie to nawet nie drugim.

– Co? – zbiła go z pantafiku.

– Jeśli dobrze pamiętam, to już ktoś sprzątnął jakiegoś Mistrza od mutantów. Tak więc zostałeś jedynym naprawdę niebezpiecznym megalomanem do odstrzału. Co zabawne, to to, że nie zabiję cię w imieniu ratowania świata, lecz z zemsty za śmierć Roberta – uśmiechała się szeroko, choć chciało jej się wyć z poczucia beznadziejności.

Wsunęła rękę do kieszeni płaszcza. Zaciśnęła palce na rękojeści noża. Reszta była formalnością.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni! – krzyknął doktor.

Rozległ się strzał. Monick zobaczyła Colta w jego ręku. Coś uderzyło w nią z potworną siłą, rzucając o przeciwną ścianę. Słyszała śmiech. Sama jednakże nie miała powodu do śmiechu. Brakowało jej powietrza w płucach. Ponadto czuła straszliwy ból. Niedawno zroszone żebra na powrót zostały uszkodzone.

– I co? I CO?!! – ryczał z uciechy, nie rozumiejąc za bardzo, czemu kobieta wyciąga coś błyszczącego z kieszeni, choć powinna wlepić szklany wzrok w popękany sufit.

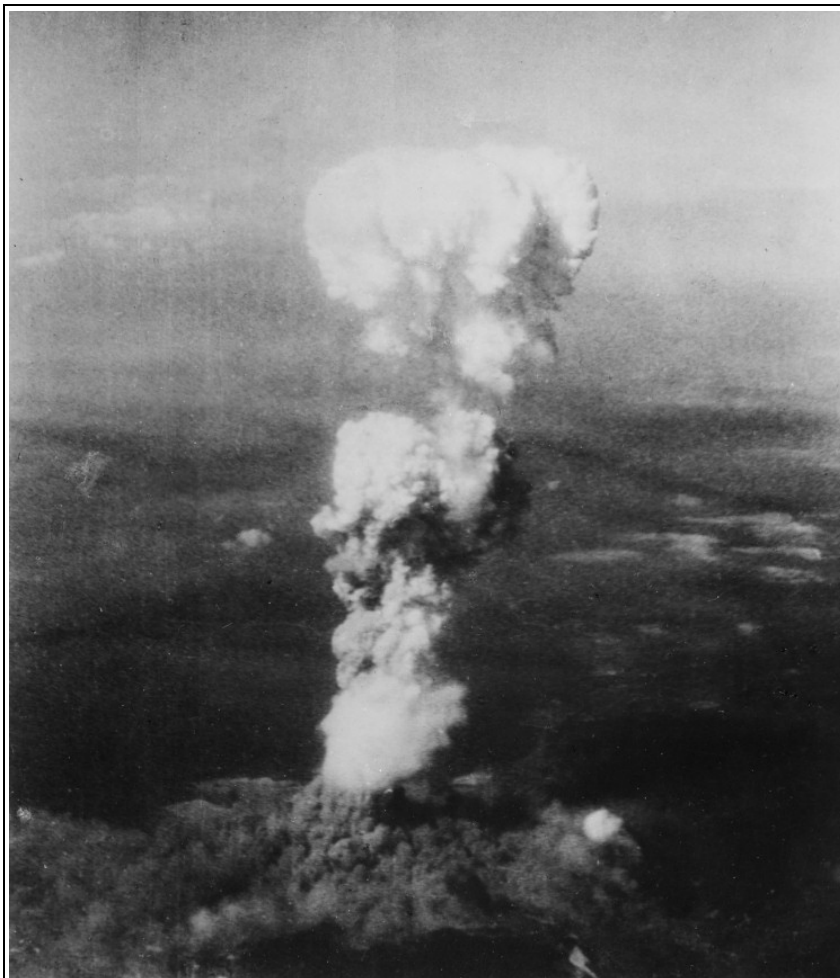
Czekał na rozwój wypadków z godnym politowania ciętym zainteresowaniem.

– Ten się śmieje ostatni, kto myśli najwolniej – mruknęła i rzuciła.

Miała to zakończyć bez przelewu krwi. Natura jednak umieściła aortę tam a nie gdzie indziej. W pozycji pół leżącej oczekiwała cudu, myśląc tylko o jednym.

– Ale te kamizelki kuloodporne są cholernie ciężkie... ☹

Petra Arkanian (Ange)



R#7 - Historia w zdjęciach: 6 wrzesień 1945 W poniedziałek o godzinie 8:15, na Hirosimę zrzucona została ok. 13-18 kilotonowa bomba atomowa o nazwie Little Boy. W eksplozji zginęło 80 tys. ludzi, do końca roku liczba ofiar wzrosła do 90-140 tys.

Pogoń

^
Feel...
Now I'm crossing through
Sea of icy tearful juice
Last this trip to land of rest
And sorrows of the past
Drifting on the bitter seas
Yet she sees the blood red sky
I'm beneath flowing down
To sleep among the stars
Feeling like I'm crossing through
Sea of bloody tearful juice
Last this trip will never end
Though soul departs the earth
- Sirrah; "Bitter Seas"

Mrok nocy spowił stary las znajdujący się na trasie łączącej dwa miasta. Młody mężczyzna o indiańskich rysach siedział przy ognisku jedząc upolowaną uprzednio jaszczurkę. Płomienie lizały drewniane szczapy ułożone niedbale w kręgu kamieni. Suche drewno trzaskało co kilka chwil, a ogień odbijał się w futurystycznych, ciemnych okularach mężczyzny. Płomień buchnął wyżej zasilając się dorzuconymi gałązkami i nagłym podmuchem chłodnego powietrza. Wędrowiec nadział kawałki mięsa na patyki, które potem pod kątem wbił w ziemię. Jego dłoń powędrowała na karabinek maszynowy H&K P90c. Instynkt i zmysły dawały znać. Ktoś nadchodził.

Spomiedzy drzew, powolnym krokiem, wyszła młoda kobieta. Zatrzymała się kilka metrów od ogniska i zapytała.

– Mogę się przysiąść?

Jednocześnie przyglądała się mężczyźnie. Ubrany w skórzane spodnie i kamizelkę oraz buty „oficerki”. Sięgające do łopatek czarne włosy spały w kucyk. Do opaski, którą nosił na czole, miał przymocowane pióro. Jej uwadze nie umknął półautomat, na którym nieznajomy wciąż trzymał dłoń. Nie była pewna, na co patrzy, gdyż oczy miały ukryte za czarnymi okularami wykonanymi z jednolitego fragmentu ciemnego szkła. W tworzywie odbijały się płomienie.

Sama ubrana była w coś w rodzaju kombinezonu. Uzbrojona - do paska przymocowane kabury z pistoletami, przez plecy przewieszony karabin snajperski. Na lewym udzie miała założony opatrunek. Przez bandaż przesiąkała odrobina krwi. Można powiedzieć, że dziewczyna była ładna.

– Jeśli chcesz – odpowiedział mężczyzna wbijając w ziemię następny patyk z ochłapem mięsa.

– Zmierzasz do Burkitsville? – zapytała.

– Możliwe. Jeszcze się nie zdecydowałem – rzucił doglądając jedzenia. Wyjął z ziemi jeden z patyków i przeciągnął dłonią, szeroko przy tym rozcapierzając

palce, kilka centymetrów nad parującym mięsem – W sam raz...

Kobieta spojrzała na niego.

– Ciekawy sposób na sprawdzenie, czy jedzenie jest już gotowe – stwierdziła.

– Jest gotowe – podsunął patyk pod jej nos – Głodna?

– Dziękuję – ostrożnie sięgnęła po patyk. Nie jadła od dwóch dni, a mięso wyglądało i pachniało wspaniale.

– Jest ciemno, siedzimy przy ognisku – powiedział ni z tego ni z owego – Atmosfera jak na zjeździe skautów.

– Masz rację – przytaknęła – Brakuje tylko kogoś, kto opowiadałby historie z dreszczykiem.

– Znasz jakąś?

– Owszem.

– Opowiedz proszę...

– Nie wiem, czy chcę zdradzać swoje tajemnice przed nieznajomym.

– Jestem Christoff – powiedział wpatrując się w płomienie – Teraz już możesz opowiadać...

– Dobrze – zaśmiała się – Więc opowiem Ci jedną z nowszych przygód Alicii Rivers, łowcy nagród, która trafiła w sam środek wielkiej intrygi...

^^
Spent some quality time
With the demon of mine
"I like the way you struggle
But you know I'm gonna win"
- In Flames; "Square nothing"

(NIEZBYT ODLEGAŁA PRZESZŁOŚĆ)

W miasteczku New Montreal rozpoczął się coroczny, wielki festyn. Jedną z atrakcji miał być pojedynek sławnej wojowniczkii, Bunny, z radskorpionem. Imię, a właściwie przezwisko, kobiety nie mówiło całej prawdy o niej, gdyż wywodziła się z dzikiego plemienia i po mistrzowski wadała włócznią. Wojowniczką o różowych włosach (stąd ksywa) była zgrabną, wysportowaną, młodą kobietą. Męska część publiczności piała z zachwytem za każdym razem, gdy wkraczała na ring prowokacyjnie kołysząc biodrami. Do miasta przybyły też „delegacje” dwóch gangów działających na obszarach otaczających miasto. Liderzy obu gangów, Jon Tully i Alonzo, mieli pewną sprawę do załatwienia.

Gangsterzy zajęli miejsca na trybunach. Rozpoczął się pojedynek człowieka i zwierzęcia. Walka była, na swój sposób, pasjonująca. Radskorpion atakował, a Bunny robiła szybkie uniki. Trwało to przez dłuższą chwilę, aż publika w końcu poczuła się znudzona i zaczęła to okazywać. Właśnie na to czekała Bunny, która przed walką obgadała szczegóły występu ze sponsorem. Zasada była prosta – przedłużyć ile się da, a w kulminacyjnym momencie zakończyć wszystko tzw. „wielkim finałem”. Po właściwym wykonaniu zadania Bunny miała otrzymać okrągłą sumkę. Wojowniczką sprężyła się do skoku. Długim susem doskoczyła do przeciwnika i zdecydowanym, mocnym uderzeniem

wbiła włócznię głęboko w cielsko bestii. Ostrze prześliznęło się dokładnie między płytami pancerza radskorpionia i wyszło drugą stroną, przybijając go do ziemi. Owacje tłumy zdawały się nie mieć końca. Bunny pokłoniła się głęboko i kilku panów w pierwszych rzędach wpadło na ring zaraz po tym, jak nieudolnie starali się zajrzeć w dekolt wojowniczkii. Posłała kilka całusów swoim fanom, następnie szybkim truchtem opuściła ring i zniknęła w jakiejś przyczepie.

Gangsterzy stwierdzili, że wystarczy rozrywek i czas brać się do roboty. Spotkali się w parku przyczep. O dziwo obaj dowódcy nie pojawili się tam, ale zlecili nadzorowanie całej akcji swoim najbardziej zaufanym sługusom.

– Macie towar? – zapytał podwładny Tullego.

– A wy macie kasę? – rzucił sługus Alonzo.

– Jest tutaj – mężczyzna pokazał walizkę wypełnioną rulonami z pieniędzmi – Pokażcie ten towar!

Podwładny Alonzo postawił na drewnianym stoliku srebrną walizkę z insygniami Bractwa Stali i otworzył ją. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo ampułek Jetu.

– Więc to prawda, że zwędziliście to „stalowym”?

– No i co? Pewnie zniszczyli by ten narkotyk. A tak możemy ubić interes. Zgodnie z umową. Płacicie i dostajecie Jet. Potem możecie go rozprowadzać po swoim terytorium za dowolną opłatą. Jeżeli chcecie więcej, skontaktujcie się z nami.

– OK – powiedział mężczyzna z gangu Tullego i wyjął broń.

Rozpętało się piekło. Dwie grupy szybko odskoczyły od siebie starając się schować za cokolwiek. Wielu zginęło w ciągu pierwszej minuty. W końcu gangsterzy Tullego zdobyli przewagę. Zabili bądź złapali wszystkich ludzi Alonzo. No, może z jednym wyjątkiem. Ale kto by się tym przejmował.

Po kilku minutach do parku przyczep przybył sam Tully. Mężczyzna mierzył wszystkie postacie badawczym wzrokiem, poruszając się przy tym wolno i dostojnie. Ubrany był w czarny garnitur szyty na miarę.

– Gdzie walizka? – zapytał jednego ze swoich ludzi.

– Sir... ona... zniknęła – wybełkotał mężczyzna.

– Możesz mi to wyjaśnić? – boss nie krył swojego rozczarowania.

– Nie wiemy, jak to się stało. Tylko jeden z nich uciekł, ale stał tak daleko, że nie mógł jej wziąć...

– Zamknij się, idioto! Nikt nie miał uciec... A zresztą, zapytajmy tych, co przeżyli.

Boss pochylił się nad postrzelonym w nogę podwładnym Alonzo, który leżał na ziemi.

– Gdzie jest walizka?

– I tak wam nie powiem – zarzekł się ranny.

Tully wstał i nadepnął na ranną nogę. Mężczyzna zawył z bólu.

– Gdzie jest walizka? Nie zapytam drugi raz...

– Zabrała ją jakaś młoda dupa... – wyjął ranny starając się zepchnąć bossa ze swojej nogi – Nie widziałem twarzy...

– Dziękuję za informację – Tully odwrócił się i odchodząc rozkazał – Zabić wszystkich.

Kilka pojedynczych wystrzałów przerwała popołudniową ciszę.

– Sir, po co nam Jet od nich? Mogą kontrolować cenę... nie lepiej byłoby zaopatrzyć się w narkotyki bezpośrednio u Mordino? – zapytał mężczyzna będący „prawą ręką” Tullego.

– Nie chodzi mi o te tandetne ampułki, tylko o walizkę – skwitował boss.

– Walizkę? – mężczyzna był wyraźnie zaskoczony – Ale dlaczego?

– Bo jest w niej nie tylko Jet zarekwirowany przez Bractwo. To podpucha. Nikt normalny nie odważyłby się zadrzeć z Bractwem tylko dla kilku ampułek narkotyków. Nie przewidzieli tylko tego, że Alonzo to wariat i różne rzeczy mogą mu przyjść do łba.

– Rozumiem.

– Zbierz chłopaków, spodziewam się odwetu. I jeszcze jedno – znajdź mi tą dziewczynę!

– Oczywiście, sir.

Tymczasem kilkadziesiąt metrów dalej kobieta o różowych włosach wpadła jak burza do swojej małej, rozlatującej się przyczepy kempingowej. Nerwowo zwolniła zaczepy zamka i szybko otworzyła walizkę.

– Nareszcie... już nie mogłam wytrzymać... – powiedziała sama do siebie.

Chwyciła jedną ampułkę i rozpuściła ją w wodzie. Potem wlała mieszaninę do małego dozownika i już w postaci aerozolu wpuściła ją sobie do nosa. Wzięła kilka szybkich, głębokich wdechów starając się nie zmarnować ani kropli narkotyku. Po kilku minutach była już na solidnym haju. W ekstazie zsunęła się z kanapy i wylądowała na podłodze. Feeria barw i rażących kolorów zalała jej oczy i wdarła się do mózgu. Tego było jej trzeba...

I am your
Nightmares,
True scares
That dream when you can't stop from
falling
Can't fight,
Can't run
Can't stop the person you've become
- Machine Head; "Crashing Around
You"

Alicia Rivers, młoda łowczyni nagród, weszła do bunkra Bractwa. Średniego wzrostu kobieta ubrana w przylegający do ciała kombinezon, co niewątpliwie podkreślało jej wyćwiczone mięśnie. W przeciwieństwie do miast, w których zazwyczaj przebywała, nie budziła tutaj specjalnego zainteresowania. Czasem pracowała dla tej organizacji jako najemnik. Zadania zawsze cechowały dwie

rzeczy: były cholernie trudne i bardzo dobrze płatne. Przez chwilę zamyśliła się.

Dzisiejszego ranka otrzymała dwie wiadomości. Pierwsza dotyczyła propozycji dobrego zarobku. Nadawcą było Bractwo Stali. To pozytywna informacja. Druga dotyczyła jej bliskiego znajomego. Kiedyś tworzyli oddział do walki z bezprawiem. Od pewnego czasu ktoś systematycznie likwidował kolejnych członków tak zwanego „bractwa”, które wszyscy zawsze mylili z Bractwem Stali. Teraz padło na starego grenadiera i specja od sztuczek związanych z ogniem – starego mutantka Luisa. Dostał kilka kul w głowę. Prosta egzekucja. Ta wiadomość była zdecydowanie negatywna.

Wielki człowiek uzbrojony w karabin maszynowy i odziany w masywny, lśniący pancerz zastąpił jej drogę.

– Czego? – zapytał po chamsku.

– Jestem umówiona ze skrybą Leibowitzem.

– Godność? – znowu ten sam lekceważący ton.

– Alicia Rivers.

– Moment... – facet wziął z biurka, stojącego tuż przy drzwiach wejściowych do bazy, „listę odwiedzin” i przez chwilę uważnie ją studiował. Po chwili podniósł wzrok na kobietę – Zgadza się, ale broń zostaje u mnie w depozycie.

– Okej – Alicia oddała mężczyźnie karabin snajperski oraz pas z bronią.

Przy strażniku pojawił się jakiś człowiek w pancerzu środowiskowym. Wyjął małe urządzenie przypominające pałkę policyjną i trzymając je w pewnej odległości od kobiety powoli przeciągnął nim od góry do dołu. W „połowie drogi” urządzenie krótko zapiszczało.

– W porządku. Żadnych metalowych przedmiotów za wyjątkiem klamry od paska. Możesz go zarekwirować, ciekawie by laska wyglądała kręcąc gołym zadkiem.

Strażnicy zaczęli opętańczo rechotać, a Alicia po prostu zignorowała ich i ruszyła do pokoju skryby Leibowitza.

Zapukała mocno.

– Proszę! – odezwał się ktoś lekko skrzeczącym głosem.

Kobieta nacisnęła guzik i drzwi schowały się w ścianie. Ostrożnie weszła do pokoju. W fotelu siedział starszy mężczyzna o popielatych, rzadkich włosach i charakterystycznym „orlim” nosie.

– Ach... panienska Alicia. Proszę, proszę... – skrzekliwy głos starca zawsze powodował u niej nieprzyjemne mrowienie na plecach.

– Witam, skrybo. Podobno Bractwo ma jakieś zadanie dla mnie? – zapytała siadając we wskazanym przez mężczyznę foteliku.

– Hm... tak... – skryba Leibowitz miał kilka dziwnych zwyczajów. Jednym z nich było sporadyczne pochrząkiwanie, innym skłonność do „odpływania” myślami w bliżej nieokreślone miejsce podczas rozmowy – Słyszałaś zapewne o zuchwałej kradzieży naszej własności, zarekwirowanych ampułek narkotyku znanego jako Jet?

– Oczywiście – odpowiedziała szybko i zgodnie z prawdą. Dawno temu próbowała skłamać, ale Bractwo dzięki swojej siatce

kapusiów miało bardzo dobry dostęp do wszystkich informacji – Całe miasto o tym mówi...

– Właśnie – energicznie uniósł prawą rękę – Teraz niewiele można zachować w tajemnicy. Szkoda, szkoda...

Skryba na chwilę zamilkł pograżając się w zadumie. Po kilku minutach ciszy kobieta uznała, że to się trochę za bardzo przeciąga.

– Eee... sir?

– Ach, tak! – pytanie najwyraźniej wyrwało go z odrętwienia – W każdym bądź razie musisz odzyskać dla nas tą walizkę.

– Przepraszam, skrybo, ale Bractwo chyba nie zajmuje się takimi drobnostkami, jak rekwirowanie narkotyków?

– Em... – chrząknął. Najwyraźniej obawiał się tego pytania – To ma głębszy sens, widzisz...

– Domyślam się – powiedziała, ale dostatecznie cicho, żeby nie usłyszał. „Następnym razem ugryź się w jeżora, głupia babo” – skarciła się w myślach.

– Mówimy o srebrnej walizce z logo Bractwa. Wewnątrz narkotyki, które zamierzamy zniszczyć. To taki... symbol... naszej opieki nad ludnością, troski... – bez wątpienia Leibowitz uskutecznił coś, co prosił ludzie nazywają „wciskaniem kitu” lub „owijaniem w bawełnę” – To efekt psychologiczny. Kradzież tej walizki, konsekwencje tego czynu mogą nadszarpać naszą reputację, z trudem budowaną przez tyle lat. Sama więc widzisz... to ma znaczenie... priorytetowe.

Skryba przynajmniej raz w czasie rozmowy musiał błysnąć archaicznym określeniem, którego znaczenie najprawdopodobniej znał tylko on sam. Wszakże duży zasób słów był w postnuklearnym świecie o wiele mniej przydatny niż, chociażby, umiejętność budowania latryny na pustyni.

– I dlatego nie mogą się tym zająć paladyni – dokończyła za niego – Bo mają ważniejsze zadania, jak na przykład walka z mutantami.

– Otóż to! – znów energicznie podniósł rękę – Więc jak? Zrobisz to dla nas?

– Oczywiście... będę tylko potrzebowała kilku informacji.

W ciągu około kwadransa kwatermistrz wydał Alicji potrzebne dokumenty. Okoliczności kradzieży i inne potrzebne dane. Kobieta zbyt długo siedziała w tym zawodzie, żeby nie rozpoznać tu „ręki” określonego osobnika. Tylko taki psychol jak Alonzo mógł zadrzeć z Bractwem z tak przyziemnych pobudek. Ale rejon Alonzo znajdował się spory kawałek dalej. Nieznany teren...

Alicia wróciła do swojego domku – bazy i przewertowała wszystkie swoje notatki dotyczące innych łowców nagród i najemników w okolicy. Zrobiła je kiedyś „na wszelki wypadek”, jak to sama sobie tłumaczyła. Zawsze mogła odpalić komuś część swojej doli i zdobyć wsparcie, czy chociażby informacje. W rejonie Alonza znane jej było tylko jedno nazwisko – Caleb de Vere. „Francuz jakiś?” – pomyślała. Potem szybko przygotowała się do drogi, zabrała prowiant, sprawdziła broń i przeżegnała się przed opuszczeniem domu. Robiła tak przed każdą akcją, jak gdyby chciała odgonić złe duchy.

– Dostaniesz 20% z mojego wynagrodzenia i 35% trofeów – stwierdziła uznając najwyraźniej za szczyt honoru ostre targowanie się.

– A ja ci powiem, że ćwierć działki i 40% zdobycznych zabawek idzie dla mnie, a ja w zamian odegram rolę dzielnego ochroniarza, doradcy i anioła stróża w jednym.

– Dobra, niech ci będzie. Targujesz się jak stary Ghul!

– I dlatego mam taką fajną hacjendę – stwierdził szybko dopijając herbatę.

Browninga umieścił w szelkach operacyjnych, z regału wyjął siedmiostrzałową strzelbę Remington M1100. Alicia spokojnie dopiła herbatkę, a gdy zobaczyła dwumetrowego faceta z wielką spluwą i kontrastującą z tym obrazem kurtkę uczniaka roześmiała się.

– A to po co? – zapytała krztusząc się herbatą.

– Oczywiście na wszelki wypadek.

– A co masz do klaunów? – popatrzyła na worek treningowy.

– Osobiste zboczenie... – uśmiechnął się diabolicznie.

We dwójkę trafili pod drzwi domu uciech pana Alonzo. Alicia zapukała grzecznie w drewniane drzwi.

– Zamknięte! – burknął jakiś pijaczyna wewnątrz.

– Daj... ja spróbuję – Caleb położył rękę na ramieniu kobiety i kiwnął głową w bok, jakby chciał dodać „odsuń się”.

Zrobiła dwa kroki w tył, a de Vere wypalił w drzwi ze swojej strzelby. Huk był niesamowity a i siła wystrzału nie mniejsza. Strzaskane drzwi wpadły do środka budynku razem z wyłamanymi ze ścian framugami. Biedak, który robił za odzwierne, zdecydowanie nie żył. Najemnicy nie sprawdzali, czy zabili go śruciny, czy też bliskie i mocne spotkanie z drzwiami.

W budynku zakotłowało się. Prostytutki uciekały przez okna, gruba burdelmama biegła po całym salonie starając się znaleźć okno dość duże, by mogła przez nie przesiąść swoje wielkie cielsko. Caleb ze strzelbą luzacko zarzuconą na ramię i Alicia z dwoma pistoletami gotowymi do strzału ruszyli po schodach na górę. Dwaj goryle dostali po kilka kulek na podwieczorek i z łoskotem stoczyli się ze schodów. De Vere raz jeszcze wygarnął ze śrutówki do jakiegoś pijaczyny, który rozpędził się do intruzów z nożem. Moczymorda przyjął całą siłę strzału bohater-sko, czyli na klatę, i wyleciał przez okno.

Dwójka zabijaków urządziła sobie prawdziwą strzelnicę raz jeszcze dowodząc, że grunt to zaskoczenie i dobre przygotowanie. Po kilku minutach, gdy już opadł kurz, a powietrze śmierdziało spalonym prochem, cały budynek był spacyfikowany. Alonzo w ostatniej chwili zwał na dach. Ale to było tylko kupienie sobie kilku minut więcej – stamtąd nie było żadnej drogi ucieczki. Chyba, że ktoś zaryzykowałby skok z dachu dwupiętrowego budynku prosto na twardą, ubitą ziemię. Caleb nie zawracał sobie głowy pukaniem czy użyciem klamki – po prostu wykopał cieniutkie drzwi z zawiasów.

Alonzo stał na krawędzi dachu trzymając w rękę maczetę. Niski i pulchny facecik przy-

pominał pijanego meksykańca, zwłaszcza przez ten swój krzaczasty wąs pod nosem i mętne spojrzeenie. Miał na sobie pokrwawioną koszulę i bokserki. O butach i spodniach najwyraźniej zapomniał, gdy uciekał na dach.

– Nie podlażcie, skurwiele, bo zarabie na śmierć! – dął się na całe gardło, plując przy tym na lewo i prawo.

– Cześć Alonzo... chyba zgubiłeś swój odświętny kaftan bezpieczeństwa – stwierdził de Vere zbliżając się do szaleńca.

Alicia pojawiła się tuż za swoim partnerem mierząc do gangstera z dwóch, wiernych Coltów kaliber 45.

– Jeszcze możesz wyjść z tego żywy... – powiedziała do niego stanowczym tonem – Szukamy tylko walizki, która zwędziłeś Bractwu.

– Znowu ta przeklęta walizka?! – twarz Alonzo nabrała niezdrowo czerwonego koloru – Czy to się nigdy nie skończy? Chciałem tylko kasy...

– Spokojnie... oddaj nam ją, a nic ci nie zrobimy. Gdzie ją schowałeś? – Alicia obawiała się, że gangster może spróbować popełnić samobójstwo, a wtedy straciłby jedyny trop.

– Nie mam jej! Ten skurwiel Tully oszukał mnie i zabił moich kurierów. Miał kupić prochy, a po prostu je ukradł! Złodziej, złodziej, złodziej!

– Tully? – Caleb nie spodziewał się, że gangster z miasta New Montreal też jest zamieszany w całą sprawę – A po co temu sukinkotowi prochy?

– Nie wiem, nie mam walizki i nie chcę mieć z nią nic wspólnego! Same kłopoty... – Alonzo nie mógł złapać tchu, wymachiwał maczetą jakby chciał zabić niewidzialnych przeciwników.

– Wiesz, gdzie szukać tego faceta? – zapytała Caleba.

– Wiem... ale nie skończyliśmy sprawy tutaj.

– Opuść sobie.

– Nie ufam mu... pewnie rzuci nam się na plecy, jak tylko się odwrócimy...

Alicia zorientowała się, że żaden z panów nie ustąpi.

– Opuść broń, Caleb... a ty, Alonzo, oddaj mi maczetę.

– Nie! – odpowiedzieli jednocześnie.

– Dajcie spokój, chłopcy...

De Vere uśmiechnął się szyderczo i opuścił lufę broni. Strzelbę zwiesił równolegle do swojej nogi gotowy, by w razie czego jej jednak użyć. Alonzo również przestał wymachiwać maczetą.

– Alonzo, oddaj mi to – kobieta była bardzo stanowcza.

Gangster zrobił minę obrażonego dziecka.

– Dawaj! – wrzasnęła, aż facet mimowolnie podskoczył.

Szybko oddał jej maczetę, przykuśnął i złapał się za głowę.

– Przepraszam, czy mogę dostać już swoje leki? – zapytał ni z tego, ni z owego.

– Ali, idź na dół i szukaj się do drogi. Ja pogadam z naszym biednym świrusem.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że go nie zastrzelisz. On ma żyć. Odegrał już swoją rolę.

– Przysięgam ci na grób moich rodziców i mój honor, że go nie zabiję.

– Dobra... wierzę ci. Na razie.

Kobieta zeszła z dachu pozostawiając dwóch rywali sam na sam. De Vere przełożył strzelbę do lewej dłoni i podszedł do klęczącego Alonzo. Potem chwycił go za szyję i podniósł do góry.

– A teraz musisz szybko machać rękami...

– stwierdził, po czym zrzucił gangstera z dachu.

Stosunkowo mała Wysokość i niewątpliwy fart Alonzo sprawiły, że mężczyzna spadł na ziemię łamiąc sobie większość kości, zamiast po prostu zmienić się w mokrą plamę. Zdezorientowana Alicia wybiegła przed budynek i zobaczyła jęczącego łama-gę. Spojrzał w górę i krzyknęła:

– Nie tak się umawialiśmy!

– Żyje. Nie obiecywałem nic więcej – skwitował Caleb i opuścił dach – Nasz następny cel to New Montreal.

Siedzieli we dwoje w mieszkaniu de Vere. Cały czas miała mu za złe tak bezpar-donowe rozprawienie się z biednym świrus-em.

– Dalej się boczysz? – zapytał.

– Jesteś taki sam świr jak on – syknęła usadawiając się wygodniej na kanapie. Skuliła się i objęła nogi ramionami, brodę oparła na kolanach.

– Może... należało mu się.

– A ty kto? Sędzia?!

– Idź spać... jutro ciężki dzień.

– Odczep się. Sama wiem, kiedy mam spać.

– Nie rozumiem, dlaczego bierzesz to wszystko do siebie. To nie osobista tragedia.

Spojrzała na niego spoode łba. Zorientował się, że trafił w czuły punkt i zapytał cicho:

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Niby po co? Nie mam zwyczaju zwierzać się nowo poznanym najemnikom. Daj mi choć jeden dobry powód...

– Czyż powód nie leży grzesznej duszy? – powiedział spokojnie.

Wzruszyła ramionami.

Siedzieli tak przez jakąś godzinę. W końcu odezwała się:

– Mój ojciec pracował w takim samym zawodzie. Niezbyt bezpieczna branża, ale niektórzy mają ryzyko w kalkulowane w wykonywaną pracę.

Śluchał z uwagą i nie przerywał jej.

– Zabił go jeden z liderów pustynnych gangów. Zabójstwo miało być częścią większego planu, morderca przyjął nawet imię mojego ojca i zbrukał je. Brad Rivers. Tak nazywał się mój ojciec...

Alicia wpatrywała się w jakiś bliżej nieokreślony punkt na jednej ze ścian i tylko dlatego nie zauważyła zmiany na twarzy Caleba. Kontynuowała swoją opowieść:

– W końcu dopadli tego sukinsyna znajomi mojego taty. Rozwalili jego gang i pokrzyżowali długofalowy plan. Bill Cazenove... – przerwała na chwilę – To prawdziwe personalia tego sukinsyna. Więc sam widzisz, że wiem, co to nieuzasadniona przemoc. Byłam tak mała, że nie pamiętam twarzy ojca. Mama nie miała żadnego zdjęcia z nim.

Ostatnio ktoś zabija każdego, kto brał udział w egzekucji Cazenove...

– Idź już spać. Zmęczona jesteś... – powiedziała sugerując jej, że nie zamierza dalej drażnić bolesnych tematów.

Powoli wchodziła po schodach na piętro, trzymając się metalowej poręczy. Nie odwracając się siodłała:

– Ten morderca zostawia przy trupach karty przedstawiające albo króla, albo królową, albo waleta. Jakiś stuknięty koleś, nie?

– Tak, tak... z pewnością.

– Dobranoc – powiedziała cicho i zniknęła w ciemnościach.

– Dobranoc... – powiedział bardziej do siebie Caleb.

Myślał bardzo długo, w końcu zasnął. Śnił mu się dzień, w którym zapłakana matka wróciła do domu. Powiedziała mu, że jego ojca zabili. Dobrze zapamiętał jej słowa...

„Ezra... zastrzelili twojego tatę. Może i był bandytą... Ale to był człowiek, do cholery! Mąż i ojciec! Jack wszystko mi powtórzył... banda tych... ZWIERZĄT zabiła go z zimną krwią. Nawet nie chcieli pokazać mi ciała, tak było zmasakrowane! Zastrzelił go jakiś pluton egzekucyjny. Doktor McDiarmid przez cały dzień próbował wyciągnąć z niego kule, żeby go godnie pochować, ale w końcu dał sobie spokój... Obiecuj mi coś, Ezra... obiecuj... przysięgnij mi, że gdy dorosniesz znajdziesz ich i wyślesz do diabła, tam, gdzie ich miejsce!”

I we śnie ujrzał siebie, małego sześciolatka o jasnych włosach, patrzącego na swoją matkę wielkimi oczami, nie do końca zdając sobie sprawę, co tak właściwie miało miejsce i o co został poproszony. I pamiętał swoją odpowiedź:

– Obiecuję...

Zerwał się z fotela na równe nogi. Złany zimnym potem. Zdyszany, jak gdyby przebiegł kilka kilometrów. Podszedł do kredensu i wyjął z niego kartonowe pudełko. Wysypał na stół talie kart. Brakowało wszystkich królów, a także kilku dam i waletów. Wziął do jednej ręki damę serc, do drugiej Browninga i cicho wszedł po schodach na górę.

**I can't tolerate your sadness
Cause it's me you're drowning
I won't allow any happiness
Cause every time you laugh,**

I feel so

GUILTY

I feel so guilty

- In Flames; "Only For The Weak"

Alicia obudziła się rano i przeciągnęła na łóżku. Była wyspana i zadowolona. Właśnie zamierzała ubrać się, zejść na dół i przeprosić Caleba za swoje wczorajsze zachowanie. Pomyślała sobie, że w końcu to jego metody. Ważne, że skuteczne, i że nie powinna się przejmować takimi drobnostkami tylko skoncentrować na wykonaniu zadania i przeżyciu.

Uśmiechnięta przekręciła się na bok i zobaczyła leżącą na stoliku, tuż obok lampki nocnej, kartę. Uśmiech zniknął jej z twarzy. Dosłownie wyszarpała Colty z kabur i sprawdziła pomieszczenie. Potem, po kolei, każde z pięter.

Pusto. Odszedł.

Wróciła do karty i przyjrzała się jej. Widniała na niej dama serc, a na odwrocie ktoś napisał czerwonym markerem „Jesteś ostatnia... ale tym razem nie mogłem – powodzenia”. Podpisano: „Caleb de Vere alias Ezra Cazenove”. „Babcia miała rację” – pomyślała – „Świat jest rzeczywiście mały”. Szybko spakowała swój sprzęt i opuściła mieszkanie najemnika.

Alicia Rivers wkroczyła na przedmieścia New Montreal w bardzo złym momencie. Kilkunastoosobowa grupa zbirów goniła różowowłosą dziewczynę ściskającą kurczowo srebrną, metalową walizkę.

– Cholera! – wrzasnęła, gdy pojęła, co się dzieje.

Bez zbędnego ociągania się zdjęła z ramienia karabin snajperski. Czynności związane z korzystaniem z tej broni miała niemalże zakodowane w podświadomości. Wyceluj, wstrzymaj oddech, pociągnij za spust, przeładuj, wyceluj... i tak do opróżnienia magazynka. Sześciu rosyłych facetów padło na ziemię ze strzaskanymi czaszkami w ciągu niespełna czterdziestu pięciu sekund. Różowowłosa nie zatrzymywała się, za to goniący ją gangsterzy byli wyraźnie zaskoczeni tak nagłym uszczupleniem ich sił. Alicia zarzuciła sobie karabin na ramię i zaczęła ostrzeliwać bandytów z Coltów. Połowa padła na ziemię podziurawiona kulami, reszta pochowała się po zaułkach i zakamarkach postnuklearego miasta i najwyraźniej wcale nie miała ochoty z nich wyłazić. Przynajmniej w najbliższym czasie.

Do konfrontacji doszło w opuszczonym domu, na krańcach miasta. Po długim pościgu spotkały się tam cztery osoby. Z tym, że jedna z cienia obserwowała całe zajście i nie zdradzała swojej obecności. Bunny ściskająca walizkę wbiegła w sноп światła i dostała kulę w głowę. W taki oto sposób przywitał ją pan Tully trzymając w wyciągniętym ręku dymiącą Berettę



Beretta M92FS

M92FS. Martwa dziewczyna padła na ziemię wypuszczając z ramion obiekt pożądania wielu osób – walizkę Bractwa Stali. Gangster myślał, że zaraz wpadną tu jego zżaleni podwładni, więc widok rozwścieczonej babki z dwoma dymiącymi Coltami zaskoczył go całkowicie. Alicia wystrzeliła z obu pistoletów naraz. Kule trafiły Tullego w pierś jednakże ten, zanim upadł, strzelił jeszcze raz na oślep trafiając najemniczkę Bractwa w udo. Gangster pełzał po ziemi chcąc upewnić się, że do piekła zabierze ze sobą jeszcze jedną osobę. Człgał się do jęczącej z bólu Alicii gdy pojedyncza kula roztrzaskała mu czaszkę. Fragmenty mózgu

i kości efektownie rozbryzgały się na podłodze. Najemniczka podniosła wzrok i ujrzała Caleba/Ezrę z Browningiem w ręku skierowanym w jej stronę.

– Strzelaj, tchórz! – krzyknęła.

Strzał w istocie padł. Pocisk pełnopłaszczowy wystrzelony z karabinu myśliwskiego przestrzelił dłoń Caleba. Broń poszybowała za sterę gruzu.

– Stój bo zginiesz! – ryknęła opancerzona postać.

Caleb najwyraźniej nie zamierzał stawiać oporu. Klęczał na zniszczonej podłodze i ścisnął zakrwawioną dłoń. Pojawili się pozostali żołnierze Bractwa Stali. Medyk zajął się raną Alicią, technicy zabezpieczyli walizkę. Caleb został aresztowany i w trybie natychmiastowym skazany na ukrzyżowanie.

Skryba Leibowitz wypłacał właśnie wynagrodzenie swojemu ulubionemu najemnikowi.

– Cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć... pięć tysięcy. Razem dwadzieścia tysięcy – połowa w kartach bractwa, połowa w blaszkach. Dziękuję za współpracę.

Skrzekliwy głos starca znów wywołał to nieprzyjemne mrowienie na karku Alicii.

– Ja też dziękuję. Co zrobicie z tym pojmanym?

– Właśnie zdycha na placu. Możesz tam pójść i napluć mu w twarz, jeśli chcesz.

– Nie o to mi chodziło.

– No nic. Zrobisz co chcesz. Dobrze przewidziałas, że się tam pojawi. Ale walizka zabezpieczona i wszystko się dobrze skończyło. Jak tam noga?

Alicia spojrzała na swoją raną kończynę. Stimpaki i technologia Bractwa były bardzo pomocne, ale takie skomplikowanie strzaskanie kości i tak zakończyło się założeniem szyny. Najemniczka podparła się łaską.

– Jakoś to będzie. Zgoi się... do widzenia

– powiedziała bez przekonania i opuściła pomieszczenie.

Leżąc na biurku skryby wojskowa radiostacja gabarytami zbliżona do telefonu komórkowego zapiszczała. Starzec przyłożył ją do ucha i wcisnął guzik.

– Leibowitz... – rzucił krótko.

– Sir... – głos dobiegający z głośniczka był nieco zniekształcony – Tu dowódca oddziału „Miecz”... mamy nietypową sytuację...

– Meldujcie, oficerze...

– Nasz patrol natknął się na grupę ludzi... i nie tylko. Trzy osoby w tym jedna kobieta... mocno pokiereszowani... i do tego ta bestia...

– Detale, żołnierzu!

– Jacys poszukiwacze przygód... albo najemnicy...

– Chodzi mi o bestię...

– Szybki skurwiel... zabił Nowaka i Kinga... po prostu nadziali się na niego, jak mijali skałę... a on bez wysiłku wyrwał im ręce... na Boga! Mieli na sobie pancerze wspomagane!... ostrzeliwaliśmy go z karabinów plazmowych i działka Gaussa... a ta trójka obdartusów waliła z broni lekkiej... A ten skurwiel dalej szedł! Robił uniki i szedł... Poraniony jak cholera... nic nie mogłoby przeżyć takiego ostrzału... w końcu oberwał

jeden raz za dużo z giwery pulsacyjnej i padł...

– Co z nim?
– Sir... to może zabrzmi niewiarygodnie... ale on wciąż oddycha... jest chyba ogłuszony.
– W porządku. Dobra robota. Wysłał transport... nikomu ani słowa i przywieźcie mi ten okaz... w jednym kawałku.
– Rozkaz, sir... a co z tymi ludźmi?
– Pojmać, dostarczyć do naszej bazy i przekazać oficerom śledczym. Zobaczymy, co wiedzą o tej istocie – Leibowitz umiał się nadzwyczaj streszczać gdy chodziło o wydawanie rozkazów podkomendnym – Przypominam... zachować milczenie.
– Rozkaz, sir... bez odbioru.

Panna Rivers pokuśtykała na „plac katorżników”, jak to mawiali skrybowie. W istocie kara dla przebywających tu przestępców była surowa. Nie było to ukrzyżowanie w dosłownym słowa znaczeniu, a raczej przywiązanie pojmanego do drewnianej konstrukcji w kształcie wielkiego X. Oczywiście – wcześniej najpierw porządnie go skopano. Tak oto kończyli przeciwnicy Bractwa Stali, którzy nie mieli tyle szczęścia, żeby zginąć w walce, albo takiego pecha, żeby trafić do obozów pracy i zaharować się na śmierć.

Caleb/Ezra wisiał na jednym z „iksów”. Głowę zwiesił luźno i nie poruszał nią. Jedynie unosząca się miarowo klatka piersiowa zdradzała, że wciąż żyje. Z przestrzelonej dłoni krew już nie ciekła, teraz pokrywał ją wielki skrzep ciągnący w dół po drewnianej konstrukcji.

– Ty świni... ty oszuście – tymi słowami powitała konającego łowczyni nagród.

– Mało... ci, tak? Przyszedł się jeszcze... trochę... poznać? – Caleb uniósł głowę. Usta miał spierzchnięte i wysuszone. Jeńcom skazanym na ukrzyżowanie nie dawano jeść i pić. Mieli zdechnąć z głodu, pragnienia albo wykrwawić się na śmierć. Co komu pisane.

– Zabiłeś Tullego, bo chciałeś zostawić sobie przywilę dobicia mnie, tchórz?

– Nie... rozumiesz...

– Rozumiem aż za dobrze. Wiś sobie tutaj, póki jeszcze żyjesz. Mam nadzieję, że w piekle spotkasz swojego tatuśka. Pozdrów go ode mnie – po tych słowach, nie czekając na reakcję Caleba, odeszła na tyle szybko, na ile pozwalała jej zraniona noga.

Caleb obudził się na miękkiej pryczy w miejscu woniejącym medykamentami i środkami czystości. Dłoń miał opatrzoną, rana częściowo się zabiłiła.

– Gdzie ja...? – zapytał próbując wstać z łóżka.

– U przyjaciół – opowiedział jakiś facet w białym kitlu, poprawiając na nosie okulary w grubych, czarnych oprawkach. Miał pocziwą gębę prostodusznego człowieka. I bez wątpienia był lekarzem albo naukowcem.

– Znanych jako?

– Bractwo Stali.

– Raczej nie mam tu przyjaciół... – stwierdził Caleb opierając się o ścianę i walcząc z napływającymi w regularnych odstępach czasu falami osłabienia.

– Domyślam się, że twoje skojarzenia z naszą organizacją są... – mężczyzna na krótko przerwał wypowiedź, jakby chcąc zaakcentować jego ciąg dalszy – ...nieco traumatyczne.

– Co najmniej... dlaczego jeszcze żyję?

– Potrzebujemy takich ludzi, jak pan, panie De Vere... a może powinienem mówić Cazenove?

– Obie formy akceptuję... po cholere jestem wam potrzebny?

– Bractwo najwyraźniej straciło z oczu swój pierwotny cel. Planujemy mały przewrót i do tego celu jest nam pan potrzebny. A żeby okazać moją dobrą wolę... – „naukowiec” sięgnął do pudła stojącego obok łóżka – ...oto pana rewolwer.

Caleb wziął do ręki swojego Browninga i poprawił rozmówcę:

– Pistolet.

– Tak, tak... a to jest nasza cenna zdobycz. Narkotyki to tylko przykrywką – „naukowiec” otworzył walizkę i wysypał wszystkie ampułki do pudła. Potem zerwał sukno z dna i pokazał Calebowi stertę dokumentacji technicznej, dotychczas ukrytej przed oczami niewtajemniczonych – To wyniki niebezpiecznych badań. Obawiam się, że starszyzna chce je wznowić. Chodzi o ulepszonego żołnierza. Pancerze już nie wystarczą przeciwko robotom i mutantom. To ma być nowa, tajna broń. Eksperymenty na ludziach, rozumie pan?

Oslabienie powoli ustępowało. W głowie Caleba kłębiły się różne frazy, przeszłość i teraźniejszość odciskały swoje piętno. Tyle osób go okłamywało... przez tyle wieków było zawsze tak samo. Najpierw przewrót w szczytnych celach, a potem zbrukanie wszystkich ideałów. Wszędzie kłamcy i zdrajcy. Zebrał się w sobie próbując nie okazywać swojej wściekłości.

– Chyba... jedno pytanie – powiedział najemnik czule obracając w dłoniach Browninga.

– Tak?

– Czy to pomieszczenie jest dźwiękoszczelne? Gdyby reszta się dowiedziała o pana planach...

– Oczywiście. Cokolwiek pan mi powie, zachowam w tajemnicy.

Down and troubled, in search for better days

**Back to the beginning, I'm at the end
All my time, compressed to itching moments**

**as the future repeats today
- In Flames; "...As The Future Repeats Today"**

(TERAŻNIEJSZOŚĆ)

Świtało. Ogień dogasał. W palenisku pozostała kupa popiołu, gdzieś tam trochę żaru.

– ... i tak to właśnie się skończyło – podsumowała.

– Trochę naciągana ta twoja historia – stwierdził – Ale opowiadałaś tak, jakbyś brała w niej udział.

– Może brałam – rzuciła krótko.

– Brałaś, pani Alicio. Zadziwiające, że cię spotkałem. Poszukujemy chyba tej samej rzeczy.

– Nie jestem pewna. Kim ty właściwie jesteś?

Podszedł do niej i przykucnął. Wyciągnął dłoń w kierunku jej twarzy. Cofnęła się.

– Nie bój się. Chcę coś sprawdzić...

Pozwoliła się dotknąć. Z pewną obawą, ale pozwoliła. Delikatnie wodził palcami po jej twarzy. Dopiero to go zdradziło.

– Jesteś niewidomy – stwierdziła.

– A ty ładna – zripostował szybko.

– Jak udało ci się przeżyć tak długo w takich warunkach?

– Stary ze mnie spryciarz.

– Ale przecież nie widzisz...

– Widzę – zabrał dłoń z jej twarzy. Po chwili dodał – W pewnym sensie... Mam dla ciebie złą wiadomość. Wpakowałaś się w niezłe kłopoty.

– To już wiem.

– Ale nie do końca. Oni ścigają Monick, a ty jesteś do niej bardzo podobna. Jeżeli zbliżyłaś się do odkrycia prawdy za bardzo, mogli cię z nią pomylić. W takim układzie już cię szukają...

– Oni? – przerwała mu – Jacy „oni”? Jaka „Monick”?

– Dzieci... – odpowiedział. Nagle wyprostował się i zaczął nasłuchiwać.

– Co się... – chciała zapytać, ale uciszył ją gestem dłoni.

Po chwili ptaki okupujące okoliczne drzewa zaczęły przeraźliwie skrzeczeć. Jazgot nasilał się z każdą chwilą. Christoff momentalnie znalazł się w czarnej przestrzeni, bowiem słuch w największym stopniu zastępował mu wzrok. Ptaki poderwały się do lotu strącając na ziemię całe mnóstwo liści. Krakanie cichło, Christoff odzyskał swój „radar”. Silnym pchnięciem powalił Alicię na ziemię, sam zaś przykucnął.

– Jest ich trzech – szepnął jej do ucha – Uważaj na siebie.

Szybko poderwał się na nogi i wbiegł w deszcz opadających wciąż liści. Wprawny ruchem dobył z zawieszzonej na plecach uprząży swój topór i wziął szybki zamach. Potężnym ciosem rozłupał czaszkę jednego z napastników. W tym momencie następny zaatakował kobietę. W ostatniej chwili przetoczyła się po ziemi unikając ciosu zakrzywionym, długim ostrzem. Widziała go przez moment. Chudy mężczyzna z jakimś czerwonym wizerem założonym na lewe oko. Zniknął szybko, zanim zdążyła zareagować. Tymczasem Christoff „skanował” otoczenie. Rzucił toporem w kierunku jednego z drzew. Dostrzegła, jak pojawił się przed nim trzeci z napastników. Ostrze topora utkwilo mu w klatce piersiowej. Chwycił stylisko oburącz, ale siły szybko z niego uciekły i osunął się na ziemię. Wtedy poczuła czyjś oddech na szyi, szybko uskokczyła w bok sięgając po pistolety. Wpakowała w przestrzeń dwa magazynki. Ktoś jęknął. „Szybki jesteś” – pomyślała widząc agresora trzymającego się za krwawiący bok.

Zmykał w kierunku drzew. Zdjęła z pleców karabin snajperski i przymierzyła się do strzału. Dostał w potylicę zanim zdążył całkowicie wtopić się w krajobraz. Christoff wyjął swój toporek ze ścierwa jednego z napastników.

– To ich miałeś na myśli?
– Tak.
– Więc to nie koniec tej sprawy?
– Nie wiem. Może... Może zabiłszy ostatnich.

– Ech... – odpowiedziała rozglądając się nerwowo i wprowadzając do komory karabinu snajperskiego kolejny pocisk.

– Dla mnie to nic nowego. Od kilku lat szukam... i cały czas ktoś wodzi mnie za nos.
– Czego szukasz?

– Drani, którzy mi to zrobili – zdjął okulary i spojrzał na nią swoimi oczami bez zrenic. Białymi, pustymi, nieludzkimi – I znajdę ich. Przynajmniej taką mam nadzieję. Chcę usłyszeć kilka odpowiedzi...

– Nie ty jeden – przeładowała pistolety i wsadziła je do kabur. Zastanawiała się przez chwilę. Przykuśnięta i oparta głowę o lufę karabinu snajperskiego. Christoff wyczyścił ostrze toporka z krwi. Potem broń zatańczyła w jego dłoni.

– Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że nigdy nie wiem, jak blisko jestem celu.

Uśmiechnęli się oboje. I wtedy padł strzał. Christoff runął na ziemię z przestrzelonym sercem. Alicia odruchowo odskoczyła w bok i zaczęła się szybko czołgać w kierunku najbliższych krzaków. Kolejny wystrzał i kobieta złapała się za nogę. Ktoś celował w diabelską ranę i... trafił. Wiedziała, że nie dotrze do upatrzonego schronienia. Chwyciła karabin snajperski starając się namierzyć niewidzialnego przeciwnika. „Dziwnie, że Christoff go nie wyczuł” – pomyślała – „Teraz on ma mnie na widelcu, a ja nawet nie mam czasu zgadywać, za którym drzewem siedzi”.

Jakaś postać w płaszczu przeciwdeszczowym wybiegła z krzaków i silnym kopnięciem pozbawiła kobietę broni. Dłoń nieznanego zacisnęła się na gardle kobiety. Żelazny uścisk nie pozwalał jej oddychać. Przyjrzała się postaci. Płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem. Nie widać twarzy. Pierwsze promienie słońca oświetlały lekko brodę napastnika. Bez wątpienia mężczyzna. Miał kilkunastu zarost i spierzchnięte usta, jakby przez dłuższy czas nic nie pił. Wtedy Alicia coś sobie przypomniała. Zna te usta. Gdy wargi rozszerzyły się w diabelskim uśmiechu ukazując szereg zębów była już pewna.

– Ezra... – wycharczała.

Mężczyzna poderwał ją z ziemi jakby nic nie ważyła i bez wysiłku cisnął obok ogniska. Uderzyła głową o jeden z kamieni, które wcześniej ułożył Christoff wokół ogniska, i straciła przytomność.

Obudziła się po kilku godzinach. Noga bolała jak diabli. Instynktownie sięgnęła do kabury przy pasie. Oczywiście nie było w niej broni. Z trudem podniosła się próbując jednocześnie uporać się z wirującym przed oczami obrazem. Siedział na leżącym poziomo pniaku, kilka metrów przed nią. W obandażowanej lewej dłoni trzymał Browninga. Jej pistolety i karabinek snajperski leżały tuż obok niego. Wpatrywał się w nią zimnymi oczami pełnymi nienawiści.

– Zastanawiam się, dlaczego mnie wystawiłeś – powiedział ubiegając jej pytanie o to, jak udało mu się przeżyć.

– Nie mogłam ryzykować, że mnie rozwalisz... i chyba miałam rację, jak widzę – mówiła powoli starając się jednocześnie znaleźć wyjście z tej trudnej sytuacji – Twój ojciec zabił mojego... potem pomścił go jego przyjaciele, a ty zabijałeś ich jednego po drugim...

– Dług honorowy... prawo zemsty. Zemsty, którą sobie darowałem patrząc na ciebie. Chciałem to skończyć, dzieci nie powinny płacić za grzechy ojców... Nie dotarło to do ciebie.

– Raczej uznałam, że to chwilowe odroczenie wyroku spowodowane troską o własną skórę. Miasto jest pod jurysdykcją Bractwa Stali. Z pewnością zbadaliby okoliczności śmierci swojego najemnika.

– Gówno prawda. Nie obchodzisz ich. Nikt i nic ich nie obchodzi – mówił spokojnie aczkolwiek dość dobitnie – No może za wyjątkiem tego...

Ostrożnie odchylił się do tyłu i wolną ręką sięgnął po coś ukrytego za pniakiem. Wyciągnął srebrną walizkę i powoli ją otworzył. Pierwsza warstwa wyściółki była zerwana tak, żeby było widać drugie dno. Wewnątrz był stos papierów.

– Wiesz, co to jest? – zapytał wpatrując się w nią jak wilk w zdobycz.

– Pewnie jakieś schematy broni... badziewie. Bractwo od dawna zbiera takie rzeczy.

– I to pewnie jest ich system chronienia wartości? – nie czekał na odpowiedź i ciągnął dalej – Mnóstwo ludzi przez to zginęło. Gdy wydostałem się z matni zabrałem to ze sobą ze zwykłej, ludzkiej ciekawości. Co może być tak ważne? Badania nad podrasowanym człowiekiem. Wszystko przez jakiegoś jajogłowego, doktora Shmidta...

– No i co z tego? Może da się to wykorzystać w dobrej sprawie – chciała zająć go rozmową, ale powoli uświadamiała sobie, że jest w sytuacji bez wyjścia. Zależna od jego kaprysów. Nie ucieknie z przestrzeloną nogą, nie ma żadnej broni. On ma wszystkie asy w tym rozdaniu. Tymczasem noga bolała ją coraz bardziej.

Zaśmiał się słysząc jej opinię.

– Myślałem, że po tylu latach roboty w tym zawodzie przejrzałaś na oczy. Nie ma już altruistów. Ostatni zostali zastrzeleni wiele lat temu przez resztę tego... bydła. A wracając do badań... ten sukisyn opisywał eksperymenty na dzieciach z takim zaangażowaniem, jakby to była sztuka. Cięcie ich żywcem na stole operacyjnym było dla niego tak naturalne, jak oddychanie. To przez takich jak on żyjemy w takim świecie.

– Po co mówisz mi to wszystko? – zapytała z rozbrajającą szczerością. Nie rozumiała, dlaczego wszystko przedłuża.

– Żebyś wiedziała, że to się da wszystko zakończyć. Twórcy tego projektu na pewno nie żyją. To jest ich testament... – mówiąc to wysypał wszystkie papiery z walizki do ognia – ... a ja zamazuję wszelkie ślady ich istnienia. Potwórki będące skutkiem tych badań nie mogą się rozmnażać, więc powystrzelam wszystkie, którym udało się przetrwać w dwóch bazach. Zainteresowani tym projektem „stalowi braciszkanie” mają kilka dodatkowych otworów w głowach. Zostałem ja... i ty...

Patrzyła na niego w milczeniu bijąc się z myślami. Uświadomiła sobie, że jednak chce żyć. Sporo jeszcze spraw do zrobienia, miejsc do odwiedzenia, ludzi do poznania. Trywialne... narażać się przez całe życie, a będąc na widelcu bać się jak małe dziecko. Co mu powie? Co go przekona? Pojedynczy wystrzał zakończył ten dylemat szybko i bezboleśnie.

Mężczyzna wstał i upewnił się, że wszystkie kartki z zapisem wyników eksperymentu spłonęły. Następnie podszedł do zwłok Christoffa i kilkakrotnie strzelił w głowę. Potem zmasakrował również czaszkę Alicii. Truchła ograbił z co cenniejszych rzeczy, zabrał dwa kawałki nieco spalonego mięsa znad ognia i zjadł je łapczywie. Otarł tłuszcz z brody rękawem płaszcza. Ciało zaciągnął w pobliże ogniska i oblał je alkoholem. Nie spalał się całe, ale... Stare nawyki czasem dają o sobie znać w najmniej spodziewanym momencie. Teraz trudno będzie technikom Bractwa zidentyfikować ciała i podjąć trop. O ile to w ogóle ich zainteresuje, wszakże ciężko powiązać ucieczkę człowieka, który oficjalnie został uznany za martwego, z jakimiś zwłokami w leśnej głuszy. Zadowolony z siebie ruszył w kierunku najbliższego miasta.

– Sprawa zamknięta definitywnie – powiedział do siebie kładąc zabandażowaną dłoń na Browningu tkwiącym w kaburze – Mam nadzieję, mam nadzieję, że jesteś zadowolona... Teraz pozostaje mi tylko kupić sobie nowy kapelusz. ☹

Ateusz Saladyn



Wirus

Laboratorium znajdowało się 30 metrów pod powierzchnią ziemi. Doskonale zabezpieczone przed wszelkiego rodzaju skażeniami z zewnątrz. Przebywało w nim osiem osób, stanowiących bezpośrednią załogę ośrodka do spraw broni biologicznej. Grupie naukowców przewodził profesor Jensen, pracujący z doktorami Sawickim i Malińskim. Do pomocy mieli mnie, jako stażystę oraz czteroosobowy oddział żołnierzy stanowiących ochronę tego niewielkiego, tajnego kompleksu.

Tamten dzień przyszedł po długich oczekiwaniach. Trzy miesiące kwarantanny dostarczało głównie nudy i złych myśli. Profesor co prawda ciągle prowadził coraz to wymyślniejsze badania nad wirusem, jednak chyba raczej po to żeby tu nie zwariować, niż dojść do czegoś konkretnego. Tak naprawdę wszystko było już dawno jasne. Stworzyliśmy broń doskonałą: cichą, niewykrywalną, cholernie szybką i zabójczą. Wirus X rozprzestrzenił się poprzez powietrze, wodę i wszystko co mogło przenosić mikroskopijną materię. Dowiedzieliśmy się o tym kiedy było już za późno. Nieodpowiedzialni ludzie transportujący próbki dopuścili do skażenia środowiska. W ciągu tygodnia było po wszystkim. Na próby kontaktu radiowego nie było żadnych odpowiedzi. Nadzieja malała wraz z upływem czasu. Wtedy nagle poczułem potrzebę żarliwej modlitwy. To zabawne, nie wierzyłem w Boga, a jednak zacząłem się do niego modlić. Dlaczego? Po co? W jakim celu? Jakby to coś miało dać. Myślę, że to był swoisty odruch, żeby nie zwariować. Zwierzyć się komuś, kto jest poza tym wszystkim. Komuś, kogo przecież tak naprawdę nie ma. Bo gdyby istniał, czy dopuściłby do apokalipsy? Z drugiej strony, dlaczego nie? Sami byliśmy sprawcami zagłady. Zlikwidowaliśmy swój gatunek, jesteśmy samobójcami. Może to tylko przysłowiowa kropla w morzu inteligentnych cywilizacji. Może nie tylko my obaliliśmy test na inteligencję? A może dlatego, że bawiliśmy się w Boga? Chęć władania światem spowodowała powstanie tego wirusa. Bo co innego? Takich rzeczy nie wymyśla się po to by nakarmić głodujących, czy też rozwiązać ważki problem ekonomiczny. Jego przeznaczenie jest oczywiste: straszyć i zabijać. Jakie to wydaje się teraz proste.

W każdym razie po 90 dniach duchowego oczyszczenia jakiego zazналиśmy, przyszła pora na weryfikację tego co się działo na zewnątrz. Według naszych danych żywotność wirusa X bez nosicieli wynosiła maksymalnie 30 dni. Całkiem luźna kalkulacja dała nam 90 dni czekania. 30 dni zabijania, 30 wygasania epide-

mii i 30 zapasu bezpieczeństwa. Poza tym to był maksymalny szacunkowy czas, jaki mogliśmy spędzić w podziemnej forticy. Fortecy w znaczeniu biologicznym. Nasze szanse były mimo wszystko spore, choć wątpliwe było, by ktoś prze-trwał na zewnątrz. Jeżeli nie przeżyła żadna kobieta, to koniec ludzkości zdawał się być faktem. Dlaczego w laboratorium nie znalazł się mieszany skład, nie wiem. Kolejny podstawowy błąd bezpieczeństwa.

Jensen codziennie prowadził testy powietrza z zewnątrz. Już od ponad miesiąca wynik na obecność wirusa X był negatywny. Przygotowania do wyjścia na zewnątrz nie trwały długo. Wszystko było już przygotowane od dawna. Szkoda tylko, że nadzieja była tak nikła. Mimo wszystko nikt nie dawał po sobie poznać rezygnacji i braku wiary w cud. Tak, tutaj mógł pomóc tylko cud. Nienaukowy, niewytłumaczalny dowód istnienia siły wyższej, która małym gestem potrafi odwrócić losy ludzkości. Nie wierzę w cuda.

Kiedy w milczeniu opuściliśmy schron przywitała nas cisza. Na zewnątrz nie było oznak żadnego życia, no nie licząc roślin. Podzieliłiśmy się na cztery dwuosobowe grupy i ruszyliśmy w różnych kierunkach. Przed nami było kilka godzin marszu przez las, by dostać się do najbliższych wsi i osad. Wieczorem mieliśmy spotkać się w laboratorium by podzielić się obserwacjami i zastanowić co dalej. Poszedłem z jednym z żołnierzy, Jankiem, na zachód. Profesor celowo przydzielił mi kierunek, w którym nie było w pobliżu żadnej osady. Może chciał mi oszczędzić mocnych wrażeń, a może nie wierzył bym mógł skutecznie zebrać próbki, czy też poczynić właściwe obserwacje. Choć według mnie liczyło się tylko jedno: znaleźć ocalałych.

Przez te kilka godzin zdążyliśmy się z Jankiem zakumplować. Pod ziemią nie było to możliwe, gdyż kontakty naukowców z żołnierzami było bardzo ograniczone przez przepisy bezpieczeństwa. To oczywiste, że w każdej chwili mogli dostać rozkaz likwidacji tajnego laboratorium wraz z personelem naukowym po to, by nie został przejęty przez wroga. Zimna wojna czasami bywa bardziej okrutna niż ta prawdziwa, na froncie.

Wieczorem trzy grupy spotkały się w umówionym miejscu. Sawicki wraz ze swoim aniołem stróżem nie wrócili. Profesor odnalazł tylko padlinę zwierzęcą, a Maliński opustoszałą wioskę bez śladu żywej duszy. O świcie podjęto decyzję i ruszyliśmy na północ. Tam, skąd nie wróciła jedna z grup. Nasuwały się dwie możliwe przyczyny nieobecności Sawickiego. Albo znalazł coś bardzo interesującego, albo wirus nadal grasował. Druga ewentualność wydawała się jednak mało prawdopodobna.

Po kilkukilometrowym marszu doszliśmy do szosy. Podejrzewaliśmy, że Sawicki prawdopodobnie ruszył szosą w kierunku najbliższego miasteczka i tam pozostał

na noc. Jednak nikt nie potrafił wytłumaczyć dlaczego nie odpowiadał na wezwania przez krótkofalówkę. W grupie coraz bardziej nasilał się strach. Dwóch żołnierzy podejrzanie szepotało między sobą. Pomysł marszu do miasteczka najwyraźniej im się nie podobał. Po pewnym czasie odłączyli się od grupy i zniknęli. Jensen zrozumiał, że nastąpił rozłam i że Sawicki mógł postąpić podobnie. W pewnym sensie to się później potwierdziło. Najpierw znaleźliśmy na szosie ekwipunek, a potem ciała wiszące na gałęzi. Dziwne, ale nikt nie był tym zaskoczony.

Janek zaczął coraz więcej palić i wciągał mnie w ten paskudny nałóg. Przez dwa dni koczowaliśmy gdzie popadło czekając na jakąś decyzję. Nikt już nie miał ochoty iść do miasteczka, więc zawróciliśmy i ruszyliśmy szosą w przeciwnym kierunku. Kolejnego dnia znaleźliśmy naszych byłych towarzyszy. Nie żyli, zastrzelili się. Jensen zarządził powrót do schronu, jednak my z Jankiem postanowiliśmy ponownie zawrócić w kierunku miasteczka. Nie obchodziły już nas plany pozostałej dwójki. Pragnęliśmy tylko jednego – znaleźć jakiś alkohol i upić się w trupa. Dosłownie.

Miasteczko było puste. Pozostawione w bałaganie spowodowanym pośpieszną ewakuacją. Kiedy znaleźliśmy sobie przytulną miejscówkę, spełniliśmy naszą jedyną zachciankę. Nie pamiętam ile wypiliśmy, ale jedno jest pewne – ocaliło nam to życie.

Nazajutrz ku naszemu zdziwieniu obudzili nas żołnierze, którzy zabrali nas do sztabu kryzysowego. Fakty, jakie nam przedstawiono były zgoła inne od dotychczasowej sytuacji. Co prawda wirus X był groźny, ale tylko dla bydła. Jednak Rosja potraktowała całą sytuację jako atak biologiczny i odpowiedziała błyskawicznie swoim wirusem. Nie powodował on bezpośredniej śmierci, ale infekował mózg. W głowie chorego tworzyły się długotrwałe urojenia związane ze strachem. W momencie krytycznym dochodziło do samobójstw. Rosjanie jednak byli bardzo pomysłowi i zostawili sobie furtkę bezpieczeństwa na wypadek niekontrolowanego rozprzestrzenienia się wirusa. Otóż był jeden bardzo skuteczny sposób na wyleczenie. Spożywany w dużych ilościach alkohol. Tym samym nasza alkoholowa próba samobójcza okazała się skuteczną kuracją. Gdy wracaliśmy podchmieleni po Jensena i Malińskiego las wydawał się być zupełnie inny, pełen życia. Słychać było donośny śpiew ptaków, spotkaliśmy nawet grupkę dzików. Oddziaływanie tajemniczego wirusa musiało być bardzo mocne, gdyż wcześniej niczego takiego nie dostrzegaliśmy. Niestety przybyliśmy za późno. Profesor z doktorem już nie żyli.

Całe to zamieszanie wiele zmieniło w polskich służbach wojskowych. Odtąd każdy żołnierz posiadał podręczną pierśiówkę, a w kodeksie pojawił się paragraf: „Na fraszunek dobry trunek”. ☹

Kamilos 16.XI.2008

Życie pod ziemią II

W poprzedniej części artykułu wiele napisałem o potrzebach, problemach, itp. Ale, jak na razie, nie rysuje się z tego żaden obraz schronu, naszej (nazwa się nie zmienia, dalej jest oryginalna) Organizacji. Dlatego w tej części skupię się wreszcie na konstrukcji, rozmieszczeniu pomieszczeń, ich przeznaczeniu, a także wspomnę trochę o nietypowym urządzaniu pomieszczeń i zagadnieniach organizacyjno-społecznych. Zatem... jak to wszystko ma mniej więcej wyglądać?

Lokalizacja

Po pierwsze, Organizacja musi wpaść na pomysł gdzie ulokować swoją oazę bezpieczeństwa. Taki Norad (schron amerykańsko-kanadyjskiej obrony powietrznej), przykładowo, mieści się wewnątrz góry. Skały są twarde i wytrzymałe - ale jako ciało stałe skutecznie też przekazują energię. W przypadku Noradu poradzono sobie z tym problemem umieszczając całą konstrukcję wewnętrzną kompleksu na sprężynach amortyzujących potencjalne drgania. Szczegółów dotyczących tej konstrukcji nie znam (podejrzewam, że mimo wszystko nie każdemu jest dane je znać), ale jest to grupa budynków, korytarzy, itp. umieszczonych na ogromnych sprężynach oddzielających je od podłoża jaskini i amortyzujących konstrukcję kompleksu w przypadku silnych drgań.

Wróćmy jednak do lokalizacji naszego schronu. Z pewnością ulokowanie takiego kompleksu z dala od siedlisk ludzkich ma swoje niewątpliwe plusy:

- łatwiej zachować tajemnicę,
- mniejsze prawdopodobieństwo trafienia bronią masowego rażenia,
- mniejsze oddziaływanie skutków wojny atomowej (chodzi o odległość od siedlisk ludzkich i instalacji wojskowych, które miałyby teoretycznie otrzymać największe uderzeń),
- mniejsze prawdopodobieństwo, że po "burzy" do schronu mogą zaglądać jacyś ocalali;

Ale, jak wiadomo, każdy kij ma dwa końce i niestety, minusy również mają tutaj znaczenie:

- proces budowy jest utrudniony z powodu odległości, na jakie trzeba dowozić materiały konstrukcyjne,
- gromadzenie zapasów oznacza duże przedsięwzięcie logistyczne, podobnie jak wspomniana powyżej budowa,
- odległość od miejsc dobrych do osiedlenia po wojnie (w takim miejscu, po opuszczeniu schronu po 10 latach, łatwo zadać sobie pytanie: "totalne zadupie - i co dalej?"),

- paradoksalnie, ciężarówki wywożące z miast różne materiały i zapasy mogą przyciągnąć uwagę ciekawskich;

Mimo wszystko, założmy falloutowo i hollywoodzko, że Organizacja wybiera na swój schron odludzie wśród skalistej pustyni. Jak już wspomniałem na wstępie całego cyklu, Organizacja nie musi martwić się o sprawy prawne i finansowe - wszystko potrafi załatwić i za wszystko zapłacić. A najważniejsze jest chyba jednak wybranie takiej lokalizacji, aby trafienie głowicą nuklearną było jak najmniej prawdopodobne. Ma tutaj znaczenie wspomniana odległość od siedlisk - im dalej, tym lepiej, bo fala uderzeniowa raczej nie dotrze do obszaru, na którym znajduje się schron, a i skutki w postaci skażenia mogą być o wiele mniejsze. Gdyby jednak w toczącym się nuklearnym starciu jakiś "złośliwy" wojskowy postanowił wysłać jedną raketkę w stronę schronu Organizacji - z pewnością jakieś pomocnicze znaczenie może mieć ukształtowanie terenu wokół schronu: kaniony, szczyty - miejsca utrudniające trafienie. Bezpośrednie trafienie pociskiem międzykontynentalnym w cel o średnicy jednego kilometra wcale nie jest takie pewne.

Założenia konstrukcyjne

Już starożytni Rzymianie wiedzieli że ich konstrukcje łukowe (stosowane chociażby przy budowie Koloseum, czy akweduktów) są o wiele wytrzymalsze od płaskich, stosowanych przez Greków. Wiedzą to także współcześni budowniczowie tuneli. A ponieważ schron Organizacji ma chronić ludzi na wypadek wojny nuklearnej (przy czym, oczywiście, bardziej przed jej skutkami), chyba wszyscy zgodzimy się co do tego, że jego wytrzymałość jest sprawą priorytetową. Wspominałem o pewnych elementach konstrukcji, na jakich oparty jest Norad, ale nie wspominał, że Norad to schron o znaczeniu strategicznym dla każdego kraju, jaki atakowałby USA i zniszczenie tejże instalacji ma dla atakującego ogromne znaczenie. Norad musi więc być zabezpieczony w szczególny sposób (choć i tak nie wiadomo, czy faktycznie wytrzyma uderzenie głowicy nuklearnej w odległości kilkuset metrów od góry, wewnątrz której się znajduje). Schron Organizacji ma być cywilny, a także - jak wspominałem w założeniach - wielonarodowy.

Pomysł, jaki mi przychodzi do głowy, to konstrukcja "rurowa" podobna do stacji kosmicznych i tuneli pod górami. Schron Organizacji miałby być wielkim kompleksem zbudowanym na bazie dużej liczby wydrążonych w skale, mniejszych i więk-

szych, połączonych ze sobą jak sieć, tunele. Tunele obudowano by za pomocą (przygotowanych specjalnie dla zaprojektowanego schronu) prefabrykowanych elementów, a dopiero wewnątrz tak powstałej sieci rur zaczęto by budowanie i wyposażanie pomieszczeń. Dzięki z góry zaprojektowanemu w tym celu prefabrykatom od razu łatwo można pozbyć się problemu sieci energetycznej, wodnej, kanalizacyjnej i wentylacyjnej (nie wspominając o niemal gotowej ochronie przed impulsem elektromagnetycznym). Fragmenty tej sieci wystarczy umieszczać w prefabrykatkach, a przy ich łączeniu uszczelniać połączenia samych sieci i w ten sposób budować kawałek po kawałku całą instalację.

Cała sieć tuneli musi być odpowiednio przemyślana i zaprojektowana przez architekta. Według mnie nie może być zbyt rutynowo - fragmenty kompleksu nie powinny wyglądać identycznie, bo rutyna (której i tak mieszkańcy będą mieć pod dostatkiem) będzie drażnić. Poza tym nie wszystkie części schronu mają być tego samego rozmiaru. W zasadzie średnica 10 m powinna być punktem wyjścia - ale dla większych pomieszczeń powinna być większa (np. 15 m). Ważne by była pewna różnorodność, a same powstałe w ten sposób lokale/pomieszczenia/sale należało by podzielić dla odpowiedniego ich zastosowania. Zatem...

Pomieszczenia mieszkalne

Jak towarzyskimi osobami członkowie Organizacji by nie byli, każdy człowiek w takich warunkach wcześniej czy później zaczyna szukać sobie własnego kąta i odrobiny prywatności - dowiodły tego badania astronautów na stacjach kosmicznych. Zbyt długie przebywanie w puszcze, bez możliwości znalezienia miejsca, gdzie można pobyć samemu, może doprowadzić do poważnego świra - a to jest w schronie bardzo niepożądane! Dlatego już projektując schron należy przewidzieć tyle pomieszczeń mieszkalnych, ilu członków Organizacji ma mieszkać w schronie. Nikt nie broni wewnątrz schronu zakładać rodziny i mieszkać razem - ważne jednak by punktem wyjścia było stwierdzenie: "mam swoją klitkę".

Klitki - czyli małe pomieszczenia mieszkalne - wbrew pozorom nie powinny znajdować się wszystkie w jednym miejscu, jak w socjalistycznym, betonowym, "pływowym cudzie". Warto by mieszkańcy mieli kilka "stref" w schronie, w których znajdują się klitki. Znając pomysłowość ludzi, być może z czasem zaczną nazywać te strefy "dzielnicami" - zawsze to łatwiej znieść mieszkanie w puszcze. Ale z pewnością właściwości "rur" należy wykorzystać

jak najbardziej efektywnie i dlatego w każdej powinny być dwa poziomy mieszkania.

Jeżeli chodzi o same mieszkania, miałyby one być czymś w rodzaju niewielkich pokoi hotelowych. Mieszkaniec miałby jeden pokój (w miarę duży), który wyposażony w odpowiednie meble byłby zarazem pokojem mieszkalnym jak i gościnnym. Pomogłoby w tym celu przede wszystkim odpowiednio składane łóżko służące za kanapę gdy jest złożone, fotel, łatwo przesuwany stół z podnoszonym blatem (mogący służyć za biurko), a do tego jakaś komoda na pamiątki i rzeczy osobiste. Z pewnością warto byłoby wyposażyć każdy z takich pokoi w kwiaty, a ściany wytapetować fototapetami. Do tego dochodziłaby mała łazienka i jakaś szafa na ubrania i wszelkie przedmioty (może książki?). Na wspomnianym stole mógłby stać sobie wygodny laptop z dużym dyskiem podłączony do schronowej sieci komputerowej (pełniłby rolę rozrywkowego centrum całej kwatery oraz małego systemu zarządzającego jej funkcjami - światło, temperatura itp.). Myślę, że niejeden projektant wnętrz popisałby się przy projektowaniu wyposażenia tych pomieszczeń. Czyż mieszkanie w schronie, mając taki "apartamentik" nie było by od razu mniej ponure?

Całość zamykana na klucz / kartę / kciuk / głos / cokolwiek – oczywiście z możliwością otwarcia od środka w prostszy sposób, na wypadek pożaru.

Pomieszczenia "rozrywkowe"

W gruncie rzeczy, choćby mieć na tym laptopie w "klitce" setkę fajnych gier i tyleż samo filmów – to wcześniej, czy później odechce się gapienia w ekran i zapragnie jakiejś innej, być może wspólnej z innymi mieszkańcami rozrywki. Niektórzy mieliby ochotę pogadać na dowolny temat ze znajomym, popijając w tym czasie pi... herbatę, inni chętnie uprawialiby jakiś sport albo poszli do kina, jeszcze inni chcieliby spędzać godziny w bibliotekach. Zapewnienie tego wszystkiego mieszkańcom schronu jest możliwe, a nawet konieczne. Ludzie muszą mieć możliwość chwilowego zapomnienia o tym gdzie i dlaczego są, potrzebują również duchowego paliwa, które napędzi ich nadzieję i chęć przetrwania. Co zatem możemy zrobić?

Kino – najmniejszy chyba problem. Przy zastosowaniu współczesnych nośników danych, komputerów, projektorów spokojnie możemy zgromadzić (przed eksploatacją schronu) pokaźną kolekcję filmów na odpowiednio do tego przygotowanym komputerze (nie mylić z PC, który jest de facto mikrokomputerem). Od razu mamy zapewniony repertuar przynajmniej 2 różnych filmów dziennie i powtórki na życzenie. Pozostaje jedynie zaadaptować w tym celu przygotowaną do tego salę, wyposażyć jak należy (krzesła kinowe, nagłośnienie, ekran, sprzęt) i gotowe!

Biblioteka – kto wie, czy ludzie zamknęci w takiej puszczy naładowanej

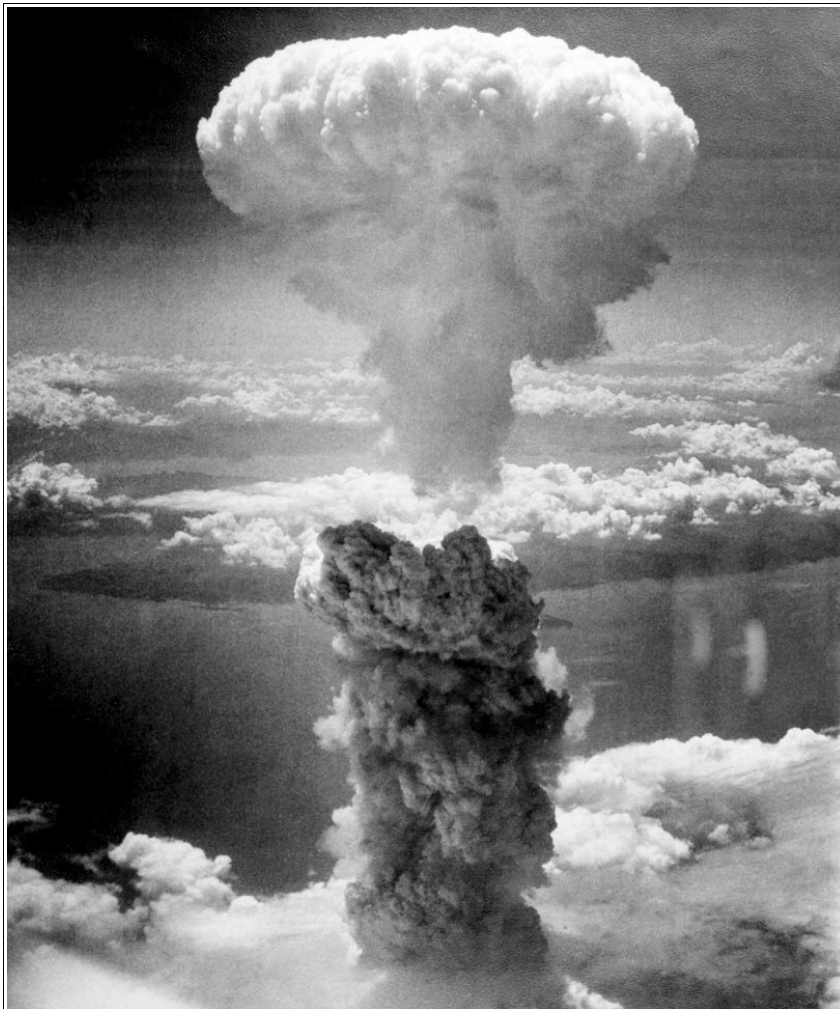
elektroniką i nowoczesnymi technologiami nie będą potrzebowali trochę "staroświeckiej" rozrywki. Niestety, zgromadzenie nawet niewielkiego zbioru książek to, w przypadku instalacji jaką jest schron tego rodzaju, spore zużycie dostępnej przestrzeni. Dlatego bardziej sprawdzi się biblioteka elektroniczna – sala z terminalami na których można czytać lub pisać książki, przeglądać stare gazety, itp. Wszyscy jednak wiemy jak nieprzyjemnie jest czytać zbyt długo z monitora komputera... Istnieje też inna możliwość. Już od jakiegoś czasu słyszy się o pewnej rewolucyjnej technologii, która pozwala na stworzenie interaktywnego czytadła – tzn. mając jedną kartkę możemy "w niej" zmieścić całą książkę, której poszczególne strony będą się wyświetlały na tejsze kartce na nasze żądanie. Czemu by nie? W ten sposób biblioteka schronowa mogła by zgromadzić na przyszłość nie tylko poezję, prozę, dramaty i gazety – ale również potężną wiedzę.

Sala gimnastyczna – przy wykorzystaniu odpowiednio dużej sali (zgodnie

z tym co napisałem a'propos konstrukcji obiektu i różnorodności jego elementów) można stworzyć niedużą salę gimnastyczną (jak w tych biedniejszych szkołach), na której mieszkańcy mogliby sobie do upadłego grywać w koszykówkę, piłkę nożną czy siatkówkę i tysiąc innych gier sportowych jakie na sali gimnastycznej można rozgrywać. Odpowiednio do tego zaprojektowane pomieszczenie sąsiadujące można wykorzystać jako siłownię/fitness – w końcu warto trochę zadbać i o mięśnie.

Kawiarnia – miejsce spotkań, urządzona w jakimś ładnym stylu, trochę stolików. Tu można się spotkać, pogadać, napić się pi... herbaty, kawy lub soku.

Klub – pewnego rodzaju, połączenie knajpy z dyskoteką. Pomieszczenie zaadaptowane w tym celu wyposażono by w stoliki (łóże również), parkiet do tańca, odpowiedni nastrój oświetleniowy i muzykę. Wieczorami odbywały by się tutaj bezalkoholowe imprezy, a za dnia można by np. pograć w karty, szachy, czy inne gry towarzyskie.



R#7 - Historia w zdjęciach: 09 wrzesień 1945 Dwie minuty po 11 rano, nad Nagasaki została zrzucona bomba - „Fat Man”. W eksplozji zginęło ok 40000 ludzi, a od ran i poparzeń kolejne ok. 30000 (różnice szacunkowe). Na choroby popromienne umarło kilkaset tysięcy ludzi.

Pomieszczenia specjalne

Gromada ludzi to gromada potrzeb i potencjalnych problemów zdrowotnych. Oprócz rozrywki i miejsca do życia mieszkańcy muszą mieć zaspokojone potrzeby wspomniane w pierwszej części artykułu oraz bezpieczeństwo medyczne. Odnosnie zaopatrzenia w żywność, oprócz zapasów tejże, pisałem również o możliwości hodowli żywności wewnątrz schronu. Oznacza to że projektant schronu, musiał przygotować również spore "rury" na potrzeby hodowli zbóż i innych jadalnych roślin oraz odpowiednie miejsca na ich magazynowanie i przetwarzanie. Mówimy tutaj o naprawdę sporej części całej instalacji. Oczywiście pola uprawne nie muszą być szerokie - mogą być długie (prawdopodobnie łatwiej je będzie zaorać). Dodatkowo, wykorzystując dwa poziomy (jak w przypadku pomieszczeń mieszkalnych), można zyskać podwójną powierzchnię.

Ale jedzenie to jedno - a co jak ktoś się zatruje (choćby to najmniejszy problem medyczny w tym wypadku)? Niestety, niezbędny jest szpital - a przynajmniej pewna jego namiastka. Musiałby to być zespół pomieszczeń z salą operacyjną, salą szpitalną (taką z łózkami), wydzielonymi salami do kwarantanny, pomieszczeniami w których trzyma się leki, itp. To również zabierze w konstrukcji sporo miejsca - ale jest potrzebne. Faktem jest, że z zewnątrz żaden wirus nie ma większych szans na przedostanie się do środka, ale licho nie śpi!

Pozostają jeszcze pomieszczenia dla instalacji omówionych już wcześniej. Mam tutaj na myśli elektrownię (lub kilka elektrowni), pompy i filtry do pozyskiwania wody itp.

O miejscu, gdzie otrzymywałoby się posiłki i je spożywało napiszę w innej części artykułu. Na razie skończmy już ten nudny fragment...

Pomieszczenia wspólne

Mieszkańcy mieszkają w swoich klitkach, chodzą do biblioteki, na salę gimnastyczną, do pracy w elektrowni, na spotkanie ze znajomymi itd. Oznacza to, że istnieje miejsca, w których się mijają, spotykają - to pomieszczenia wspólne. Oczywiście nie chciałem w ten sposób nagle wyskoczyć z - mam nadzieję wiadomym - faktem, że wewnątrz schronu istnieje sieć korytarzy - to przecież logiczne. Korytarze to jedno, ale warto by wewnątrz kompleksu znalazły się dwa, może trzy specjalne pomieszczenia wspólne, mające być czymś w rodzaju placów - względnie parków. Wyobraźmy sobie jedną z "rur" o odpowiednio dużej średnicy, do której wchodzi 4 korytarze (po jednym po bokach i po jednym na krańcach). Podłoga tutaj nie jest płaska, ale lekko pagórkowata, pokryta trawą, na której położono wąskie alejki z płyty chodnikowej lub bruku. Gdzieś tam rosną krzaki i młode drzewa. Sufit jest niebieski, a odpowiedni projektor wyświetla na nim

przesuwające się chmury, zaś w porach wieczornych gwiazdy (z uwzględnieniem komet i "spadających gwiazd"). Oprócz tego duży wiatrak umieszczony w ścianie symuluje wiejący tutaj wiatr, a z głośników płynie dźwięk śpiewu ptaków, szumu drzew. Odpowiednie urządzenia rozpylają zapach parku (dzisiaj stosuje się takie chwyt marketingowe - używając np. zapachu świeżego chleba aby zachęcać klientów do kupowania pieczywa). Czy mając w wyobraźni egzystencję w puszczy, pełną rutyny i szarości, nie wydaje się Wam, że taki obraz od razu dodaje koloru temu życiu? Myślę, że podobnie byłoby z mieszkańcami schronu - miejsce takie naprawdę by uspokajało. Wspomniałem o dwóch, lub trzech takich miejscach, bo poza zużywaniem w tym celu miejsca w projekcie, nic nie stoi na przeszkodzie by takich miejsc, różniących się oczywiście wyglądem, było więcej.

Tak naprawdę, tam gdzie tylko to możliwe, budowniczości schronu powinni wykorzystywać każde dostępne miejsce na zacieranie różnic między schronem, a pięknem zewnętrznego świata. Wyobraźmy sobie korytarze w "dzielnicach" mieszkalnych, ściany zewnętrzne mieszkań wyglądające jak zrobione z cegły, albo z drewna, na podłogach korytarzy bruk, lub płyta chodnikowa, sufit niebieski, a oświetlenie w kształcie lamp ulicznych gdzie tylko się to zmieści, różne dźwięki odtwarzane w różnych częściach kompleksu, gdzieś tam ławka - żyć od razu łatwiej w takim podziemnym pudle.

Jak na razie, wiemy już jak mniej więcej wyglądałby schron, jak został by podzielony oraz w jakich warunkach przyszło by żyć jego mieszkańcom. Przyjrzyjmy się teraz życiu społecznemu oraz dniu powszedniemu przykładowego mieszkańca.

Przywódca

Mimo, iż po naszej planecie stąpa wielu indywidualistów (lub na nich pozujących), człowiek do stworzenia stadne i w większej grupie potrzebuje kogoś, kto nada jego grupowym poczynaniom kierunku, a każdego z jej członków odciąży od pełnej odpowiedzialności za działania ogółu. Jednym słowem MY, ludzie - a więc również członkowie Organizacji - potrzebujemy przywódcy. Teoretycznie mieszkańcy schronu powinni wybrać swojego przywódcę sami - wtedy najchętniej będą respektować jego decyzje (bo z logicznego punktu widzenia jest to najbliższe respektowaniu własnych decyzji). Ale to chyba zrozumiałe, że Organizacja ma już za sobą wybór "Nadzorca". Oznacza to, że w momencie gdy do grupy dołączają kolejni jej członkowie muszą uznać jej kierownictwo i w momencie budowy schronu wszystko jest już jasne.

Kim miałby być "Nadzorca"? Z pewnością model pokazany w Fallout'ach, to nie do końca słuszna koncepcja - a na pewno nie taka, którą przesadnie warto tutaj

omawiać. Ot, podstarzały mężczyzna z lekką chrypką z przejęciem mówiący o problemach, mający wyglądać na doświadczonego przez życie mędrca (ale gdzie nabył to całe doświadczenie, prawdopodobnie całe życie spędzając w V13?). Przypomina mi to odrobinę Leonida Breżniewa, o którym chodziły dowcipy "od łokcia na baterie". Oczywiście starzeje się każdy, ale nie każdy nadaje się do wszystkiego w każdym wieku. Dlatego też uważam, że przede wszystkim powinno się spojrzeć na tą sprawę bardziej technokratycznie niż ideowo. Nadzorca powinna zostać osoba najlepiej do tego przeszkolona i nie powinna pełnić swej roli dłużej niż 5 lat - jak prezydent. Ponieważ schron według naszego, fikcyjnego eksperymentu miałby zapewnić przetrwanie w ciągu 10 lat, to takowy nadzorca powinien mieć swojego następcę i to ustalonego z góry - aby nie doszło do czegośkolwiek, co można by nazwać "walką o władzę". Co prawda całkowite wyeliminowanie tejże "walki o władzę" jest raczej niemożliwe, ale trzeba starać się jak najbardziej zbliżyć do modelu, który to wyeliminowanie byłby w stanie osiągnąć.

Wspomniany nadzorca powinien mieć jak najmniej ambicji "wodzowskich" i politycznych, a jak najwięcej zapędu do efektywnego kierowania zespołem i czerpać satysfakcję z prawidłowego wykorzystywania swoich umiejętności i wiedzy - taki Menadżer (jak ja nie lubię tego słowa!). Dobrze by miał odpowiednią wiedzę o obiekcie, który nadzoruje, znał się wystarczająco na psychologii tłumu oraz dysponował odpowiednią wiedzą z kilku dziedzin, nieodłącznych związanych z instalacją, jaką zamieszkuje (fizyka, chemia, biologia). Znalezienie osoby o takich kwalifikacjach może być trudne, ale nie jest niemożliwe.

Do jego obowiązków, bezsprzecznie należałoby podejmowanie decyzji - niekiedy koszmarnych, ale niezbędnych, toteż pewne cechy charakteru, takie jak asertywność i stanowczość, są bardzo pożądane. Z pewnością niejednokrotnie zdarzy mu się interweniować w jakimś sporze, toteż otwartość i szerokie horyzonty byłyby bardzo wskazane.

Generalnie - Organizacja potrzebuje człowieka niezbyt często występującego w populacji tej planety.

Organizacja

Na czele całej populacji schronu stoi więc Nadzorca - niemalże rycerz bez zmaczy i skazy. Niestety, sam nie da rady zarządzać całym zespołem ludzi, którym musi wydawać polecenia, kontrolować i motywować. Dlatego też, według mnie, sprawdziłby się tutaj system jaki miałem okazję widzieć w pewnym filmie traktującym o okręcie US Navy (konkretnie lotniskowcu). Zastosowano tam podział na departamenty, z których każdy miał swojego szefa i wraz z szefami innych departamentów tworzyli pewnego rodzaju radę doradczą, a decyzje podejmował głównie kapitan.

Gdyby zastosować to w przypadku kompleksu Organizacji, rolę kapitana przejąłby Nadzorca. A szefowie departamentów? Cóż... w zasadzie "a departamenty?" – otóż nic prostszego. Cały schron ma wewnątrz siebie sporo pokrewnej aparatury, sporo pokrewnych problemów i sfer życia – można więc spokojnie wyłonić z tego:

– departament energetyki – na czele stałby dysponujący największą wiedzą o sieci energetycznej schronu elektryk. Cały departament zaś odpowiadałby za nadzór nad instalacją elektryczną i bezpieczeństwem energetycznym obiektu. Zarządzałby również wszystkimi sektorami energetycznymi (elektrowniami i akumulatorami) oraz całą siecią energetyczną.

– departament techniczny – żeby nie mówić "komunalny" – chodzi o odpowiedni pion organizacyjny, który odpowiada za sieć obiegu powietrza, instalację wodociagową i kanalizacyjną, a także za pozyskiwanie, filtrowanie i nadzór nad zgromadzonymi zapasami wody. Szefem takiego departamentu powinien być najbardziej obezpany ze schronem i jego instalacjami technik.

– departament medyczny – bardzo ważny departament, którego zadaniem jest systematyczne przeprowadzanie badań, nadzór nad zdrowiem mieszkańców i bezpieczeństwem epidemiologicznym kompleksu. Pod swoją ręką miałby przede wszystkim punkty medyczne i szpital. Naturalnie głową departamentu medycznego powinien być najlepszy, dysponujący największą wiedzą i doświadczeniem lekarz (ale jednocześnie z wyszkoleniem menedżerskim) w schronie.

– departament ochrony – a raczej pion służb porządkowych – nie potrzeba tutaj przesadnie zmilitaryzowanych oddziałów. Wystarczy coś na wzór prostej milicji albo ochrony – obowiązkowa służba dla każdego

na zasadzie dyżurów (dzisiaj ty, jutro ja, pojutrze on, a za tydzień od nowa). Jednocześnie departament ten odgrywałby rolę sądów i wykonawców wyroków. Na czele departamentu ochrony najlepiej sprawdziliby się chyba wojskowi – ale po pierwsze z doświadczeniem, a po drugie nie może to być "twardogłowy" – potrzebny jest na to stanowisko inteligentny człowiek o dosyć elastycznym umyśle.

– departament społeczny – specjalny departament zajmujący się integracją mieszkańców. Zarządzałby biblioteką, klubem i ogólnym życiem kulturalnym i towarzyskim schronu. Zajmowałby się organizowaniem małych imprez okolicznościowych. Słowem – starał się stworzyć z zamieszkującej schron populacji jak najzdrowsze psychicznie społeczeństwo. Trudno natomiast powiedzieć kto byłby najlepszym szefem takiego departamentu – może artysta? A może dawny producent telewizyjny? Albo socjolog?

Oczywiście powyższe nazwy są przykładowe, a departamenty nie muszą wcale nazywać się departamentami. Najważniejsze jednak by wszystkie obowiązki nie spoczywały wyłącznie na nadzorcy, ale by zostały rozdzielone między niego i szefów departamentów. W regularnych odstępach czasu (oraz w przypadku sytuacji kryzysowych) szefowie departamentów i nadzorca spotykali się na odprawie, na której poruszane byłyby problemy każdej ze sfer, reprezentowanej przez głowy departamentów, a nadzorca podejmowałby najważniejsze decyzje w oparciu ich rady. Kwestie o mniejszym znaczeniu podejmowałby sami szefowie departamentów w ramach codziennego wypełniania swoich obowiązków.

Plan dnia

Ze względu na konieczność oszczędzania wody, energii, tlenu i żywności,

a jednocześnie uwzględniając potrzeby człowieka i zarazem konieczność dbania o jego organizm, dzień w takim kompleksie nie może być zlepkiem chaotycznych działań – powinien być zaplanowany. Nie chodzi o to by każdemu ściśle zaplanować co ma danego dnia robić i zmuszać go do tego, ale by pewne zdarzenia – jak posiłki – były dostępne tylko o określonych porach.

Wspomniane posiłki powinny być przede wszystkim serwowane w czymś w rodzaju stołówki i tylko tam spożywane. Wiąże się to nie tylko z koniecznością oszczędzania żywności ale też z czystością. Okruchy pozostawiane w kwaterach będą świetną pożywką dla owadów (w tym karaluchów) – w dobrze zarządzanej i nadzorowanej kuchni łatwiej jest utrzymać porządek i zabijać ewentualne robactwo na bieżąco. Poza tym przyjmowanie posiłków według regularnego planu jest również zdrowe – nie od dziś wiadomo, że nie powinno się dojadać między posiłkami.

Sprawa utrzymania tężyzny fizycznej również ma uzasadnienie zdrowotne. Biorąc pod uwagę deficyt otwartej przestrzeni każdy mieszkaniec powinien obowiązkowo dbać o swoją kondycję i zwyczajnie ruszać się. W planie dnia powinny znaleźć się ćwiczenia fizyczne – dowolnego rodzaju – niech mieszkaniec schronu wybiera je sobie sam: czy to pograć w piłkę na sali gimnastycznej, czy pójść na siłownię, czy gimnastykować się dowolnie, czy też np. pobiegać po korytarzach. Ważne by od mieszkańca egzekwowano ruch.

Niezwykle ważna jest sprawa higieny, ale oszczędzanie wody jest jeszcze ważniejsze. Aby uchronić mieszkańców schronu przed skutkami lekkomyślności niektórych z nich najlepszą metodą byłoby elektroniczne dozowanie wody. W każdej kwaterze umieszczono by wodomierz, a odpowiednio skalibrowany do tego komputer (czyli kwaterowy laptop) sprawdzałby ile danego dnia wody już upłynęło

Zapraszamy na

OUTPOST

Serwis sztuki i kultury postapokaliptycznej

Dołącz do nas aby dowiedzieć się
jak przetrwać na pustkowiach!



<http://POSTAPOCALYPTIC.NET>

i jeżeli wartość ta nie przekroczyła wartości dozwolonej dziennej porcji wody przemysłowej (lub pitnej), woda dalej by leciała. W innym przypadku do północy wody by nie było. Mieszkaniec kwatery mógłby zawsze obejrzeć dane odnośnie swojego zużycia wody na ekranie komputera zarządzającego kwaterą i w ten sposób wiedziałby na co może sobie pozwolić. Oczywiście z góry zakładano by dla każdego mieszkańca wody na spokojne trzy kąpiele dziennie plus dodatkowa toaleta.

Plan dnia to jednak również obowiązki. Człowiek to już taki stwór, że potrzebuje czasem jakiejś pracy i to nie w celach zarobkowych ale by nie zwariować. Ponieważ w schronie działałyby departamenty, potrzebowałyby one pracowników. Każdy mieszkaniec schronu musiałby dobrowolnie pracować dla danego departamentu, przy czym obowiązywałby system zmianowy – czyli wspomniane już: „dzisiaj ja, jutro ty, pojutrze on, a od poniedziałku od początku”. Raczej nic nie stoi na przeszkodzie by za jeden dzień pracy mieszkaniec otrzymywał jakiś profit np. w postaci skondensowanego jedzenia, które może zabrać sobie do kwatery i zjeść (coś w stylu jedzenia dla astronautów – chodzi o to by nie zostawiać okruszków i innych smakolepków dla owadów) albo np. dodatkowy przydział wody – cokolwiek, co motywuje.

Życie w schronie

Jak jednak wyglądałoby życie przeciętnego mieszkańca schronu? Pomijając już plan dnia i pewne narzucone normy postępowania, można by pokusić się o wyobrażenie sobie jednego dnia z życia mieszkańca takiego schronu. Dla ułatwienia, nazwę go Lenny.

Po pierwsze: pobudka. Lenny budzi się w swoim łóżku, w swojej kwaterze, zgodnie z ustawionym przez niego budzikiem – światło w pomieszczeniu rozjaśnia się powoli, wraz z dźwiękiem budzika. Nasz bohater pewnie chwilę jeszcze przeciąga się na łóżku aby niedługo później wstać i podejść do komputera-centrum – zarządzającego całą kwaterą. Za pomocą jednego kliknięcia włącza nasłuch na wewnętrznym radio-węzle schronu, w którym codziennie jakiś schronowy DJ prowadzi swoją mini-stację radiową.

Następnie Lenny śmiga pod prysznic i doprowadza się do porządku. Po chwili opuszcza kwaterę zamykając w niej zamek na osobistą kartę magnetyczną – światło natychmiast gaśnie, a cała elektronika przechodzi w tryb oszczędzania energii. Przy "uliczce", przy której mieszka nasz bohater takie kwatery mieszczą się jedna obok drugiej, ale różnią się z zewnątrz wyglądem ścian – są różnie pomalowane, przypominają malowniczą starówkę jakiegoś europejskiego miasta. Idąc chodnikiem (korytarzem między kwaterami) Lenny mija porożstawiane gdzieniegdzie kwietniki z roślinami, ławki i po kilku "przeznaczeniach" dociera do parku – sporego pomieszczenia z trawnikiem, ławeczkami,

alejkami. Siedzi już tam kilku jego najbliższych przyjaciół. Wita się z nimi i zmierza w kierunku jednej z jadalni.

Jadalnia wygląda jak zadbana stołówka. Lenny podchodzi do stoiska, gdzie podaje się żywność i ogląda co tego dnia jest do wyboru. Nakłada na talerz to, co go interesuje, a następnie dosiada się do stolika, przy którym je atrakcyjna blond piękność. Spożywa posiłek rozmawiając z towarzyszką.

Dziś Lenny nie ma dyżuru w żadnym departamencie, postanawia więc nieco się rozerwać. Najpierw udaje się do parku, gdzie umawia się z najbliższymi przyjaciółmi na kilka rozgrywek w jedną z dostępnych tutaj gier sieciowych. Na graniu mija im co najmniej godzina.

Ponieważ osobisty komunikator (substytut telefonu komórkowego) przypomina mu o obowiązkowych ćwiczeniach, po kilku rozgrywkach Lenny udaje się na salę gimnastyczną. Po przebraniu się w strój do ćwiczeń natychmiast zabiera się za rozgrzewkę, a po chwili wraz z innymi na sali mieszkańcami gra w koszykówkę. Po skończonych ćwiczeniach kąpie się, oddaje strój gimnastyczny do znajdującego się w pobliżu punktu zdawania odzieży brudnej (stąd odzież powędruje do pralni). Akurat zbliża się pora wydawania obiadu, więc Lenny kieruje się do najbliższej jadalni na posiłek.

Gdy kończy posiłek, uznaje że czas na sesję, więc udaje się do biblioteki i wypożycza książkę. Nie jest to jednak książka w rozumieniu tomu kartek – ale jedna kartka mogąca wyświetlić zawartość całej książki. Książkę zabiera do parku i tam kładzie się na trawniku i zaczyna czytać. Tymczasem po niebie w parku, dzięki zastosowaniu projektorów, przesuwają się chmury, a nawet widać lecące ptaki. Słychać też ich śpiew i powiew wiatru. Na czytaniu czas schodzi Lennemu do wieczora. Gdy w parku niebo zaczyna ciemnieć i pojawiają się na nim gwiazdy, przychodzi pora na kolację.

Lenny siada wraz z przyjaciółmi przy jednym stoliku w jadalni. Jedzą długo, bo dużo rozmawiają i śmieją się. Umawiają się razem na koncert zespołu muzycznego, który niedawno narodził się w schronie i ma zamiar niedługo dać popis swoich możliwości. Jednocześnie Lenny opowiada o książce przygodowej, którą czyta – autorstwa jednego z mieszkańców schronu – ponoć wciągająca.

Po posiłku Lenny ma już dość towarzysztwa na dzisiaj i postanawia w samotności obejrzeć film. Udaje się z powrotem do swojej kwatery, bierze prysznic i zasiada przy swoim komputerze. Najpierw przeszukuje przepastne archiwa głównego serwera schronu, gdzie znajduje się mnóstwo filmów sprzed wojny, ale po chwili zmienia zdanie co do repertuaru i postanawia obejrzeć film, który niedawno stworzył jeden z mieszkańców schronu, dobrze znający się na grafice i animacji. Używając komputera w ciągu roku udało mu się skleić, może niezbyt zaawansowany ale ciekawy film animowany, który teraz krąży udostępniony w schronowej sieci.

Gdy na zewnątrz kwater jest już ciemno (celowo światło jest przyciemniane by zachować w ludziach poczucie dnia i nocy), Lenny słyszy już specjalnie generowany na zewnątrz dźwięk świerszczy. Ustawia budzenie na dzień następny i włącza sobie jakąś pomocną w zaśnięciu melodię, po czym kładzie się spać.

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że przedsięwzięcie budowy kompleksu o jakim traktuje ten artykuł nie może zostać opisane w nawet dziesięciokrotnie większym opracowaniu. Mam jednak nadzieję, że przy pobieżnym spojrzeniu na zagadnienie o jakim mowa, udało mi się do tej pory wyczerpać temat ogólny przynajmniej w jednej trzeciej. W ostatniej już części omówię zagadnienia związane z opuszczaniem schronu i budową nowego domu.

Opuszczanie schronu

Przede wszystkim, schron musi mieć jakiś wąż. Celowo pominąłem ten fragment gdy opisywałem sprawy związane z konstrukcją i rozplanowaniem pomieszczeń gdyż uznałem, że lepiej będzie zostawić to na tą część artykułu. Ponieważ cały kompleks ukryty jest pod ziemią, wejście powinno znajdować się niedaleko powierzchni, ale jednocześnie nie na samej powierzchni ze względu na siłę ewentualnej fali uderzeniowej. W Fallout'ach Krypta 13 miała swoją gródz wejściową w jaskini. A w bazie Norad wejście umieszczono prostopadłe do tunelu prowadzącego przez górę, w której znalazł się kompleks – dzięki temu fala uderzeniowa przechodzi przez górę na wylot, nie obciążając tak bardzo samych wrót kompleksu. Rozwiązanie to wydaje mi się najsensowniejsze, ale oczywiście tunel to jednak dosyć widoczna z zewnątrz konstrukcja - w mało której górze znajduje się zaokrąglona dziura z płaskim wjazdem.

Sam wąż powinien być spory (pomijając obowiązkowe, potężne i wytrzymałe wrota główne) – na tyle duży by mogły przez niego spokojnie przejechać spore pojazdy i to nie tylko ze względu na proces budowy schronu ale i późniejsze jego opuszczanie. Skoro schron położony jest jednak kilkadziesiąt (kilkaset?) metrów pod wejściem do schronu, niezbędna jest instalacja potężnej windy, zdolnej wywieźć na powierzchnię wszelki ciężki sprzęt, jaki mieszkańcy schronu zgromadzą na dole. Oprócz windy, obowiązkowo schody (może lepiej dwie klatki?) oraz z pewnością drabina. Jeżeli schody uległyby zawaleniu, drabina (jako prosta, pionowa konstrukcja) może okazać się ostatnią drogą na powierzchnię.

Oprócz tego ważne jest odpowiednie przygotowanie samych mieszkańców do opuszczenia schronu. Film jaki mamy okazję obejrzeć na wstępie Fallout 2, pokazujący instruktarz mieszkańców Krypty 13 jak mają się zachować przy opuszczaniu swojego azylu to celna uwaga. Po dziesięciu latach mieszkania pod ziemią, przyzwyczajenia do ciasnoty i ogranicze-

nia, wyjście na powierzchnię gdzie świeci prawdziwe słońce, gdzie znajduje się otwarta przestrzeń, a w nocy niezgłębiona ciemność, może okazać się trudne. Nie mówiąc o przyzwyczajeniu się do tego na nowo.

No i jeszcze jedna ważna sprawa: ciągle analizowanie środowiska to konieczność. Patrole wychodzące na powierzchnię muszą obowiązkowo nosić stroje przeciwcemiczne i liczniki Geigera. Patrole te powinny wychodzić regularnie przez cały okres istnienia schronu i badać czy powietrze nie jest skażone zarówno promieniowaniem, jak i wszelkiego rodzaju gazami czy wirusami – nie wiadomo co zostało uwolnione w czasie wojny. Również gleba powinna być badana. Jeżeli przed opuszczeniem schronu wiele patroli wykaże, że wszystko jest w normie – mieszkańcy mają zielone światło.

Nawiązanie kontaktu

W chwili gdy członkowie Organizacji będą wchodzić do Schronu z pewnością nie może tam brakować różnorodnych nadajników i odbiorników radiowych oraz satelitarnych. Przydadzą się właśnie teraz – gdy schron będzie można już opuścić. Dzięki nim możliwe będą próby nawiązania kontaktu z wszelkiego rodzaju potencjalnymi ocalałymi, którzy mogą nadawać lub odbierać.

Próby nawiązania kontaktu mogą zaowocować stałą komunikacją z niektórymi ośrodkami życia, a co za tym idzie wymianą żywności, zaopatrzenia, czy wiedzy, a w najlepszym wypadku połączenie sił dla wspólnego dobra. Może się też okazać, że wbrew pozorom apokaliptę przetrwało więcej ludzi niż można się tego spodziewać, a już bardzo możliwe, że uda się to przedstawicielom władzy. Oczywiście głupstwem byłoby wysyłanie w eter informacji o położeniu schronu oraz o tym co się posiada – ściąganie to wszystkich potencjalnych grabieżców i bandytów, którzy ocaleli z jądrowej zagłady (a ocaleją na pewno!). Z pewnością jednak warto aby Organizacja zidentyfikowała samą siebie i dyskretnie przedstawiła swoją sytuację.

Może się jednak okazać, że poza schronem Organizacji niewiele sprzętu elektronicznego było zabezpieczone przed impulsem elektromagnetycznym, toteż nawiązać kontakt będzie można tylko osobiście – bez użycia sprzętu. Oznacza to niestety wyprawę dobrze uzbrojonej grupy z zapasami, dodatkowym sprzętem i koniecznie komunikatorem – prawdopodobnie za pomocą pojazdów, które udało się przechować pod ziemią.

GECK

Skoro Organizacja opuszcza schron, który spełnił swoje zadanie, czas zabrać się za budowę nowego domu. Tutaj znowu przydadzą się specjaliści od budowania i wszelkiej maści technicy oraz

specjaliści od uprawy roślin. Organizacja zadbała oczywiście o zmagazynowanie wewnątrz schronu sprzętu takiego jak agregaty prądotwórcze z zapasami paliwa, niewielkie pojazdy (na energię elektryczną, najlepiej pozyskiwaną ze słońca), trochę materiałów budowlanych (blachy faliste, deski, płyty, gwoździe, rusztowania, siatki metalowe), sprzęt elektroniczny i elektryczny (czujniki, kamery, komputery, kable, oświetlenie) oraz niezbędne narzędzia – w tym również specjalistyczne, a do tego sporo informacji o okolicy (np. mapy geologiczne).

Technicy zatroszczą się o doprowadzenie hydrauliki, kanalizacji, elektryczności i łączności do powstającej na powierzchni osady. Budowniczowie zbudują na początek kilka podstawowych baraków – dla nadzoru powierzchni (stróżówka, małe koszary, garaże, jakaś komórka na broń i narzędzia). Tam strażnicy (ci, którzy do tej pory pilnowali porządku w schronie teraz będą pełnili służbę głównie na powierzchni) będą troszczyli się o bezpieczeństwo w okolicy. Stąd będą ruszały codziennie patrole w celu upewnienia się, że w pobliżu nikt się nie kręci.

Z czasem potrzebny będzie niewielki kamieniołom w celu pozyskania nowych materiałów budowlanych. Dzięki mapom geologicznym możliwe będzie również znalezienie złóż cennych rud metali oraz wapieni. Chemicy zatroszczą się o stworzenie cementu i z czasem powstaną pierwsze murowane budowle, a dzięki odnalezieniu (niewielkich nawet) złóż rud metali powstanie niewielka kopalnia i huta, a dzięki temu nowe narzędzia, a nawet broń.

Dzięki wykorzystaniu elektroniki technikom uda się stworzyć sieć czujników i kamer, które będą przekazywały informacje z okolicy i w porę informowały o zbliżającym się intruzie.

Badania gleby znajdą dla rolników nowe pola pod uprawy oraz nowe źródła wody i będzie można uruchomić produkcję żywności na powierzchni.

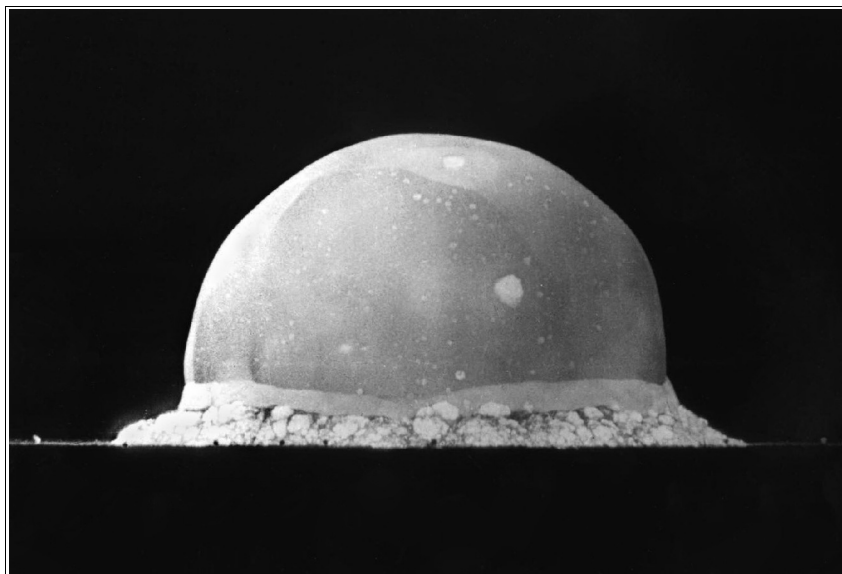
Z pewnością początkowo mieszkańcy będą raczej woleli mieszkać w schronie – z przyzwyczajenia i z poczucia bezpieczeństwa. W tym czasie małe miasteczko będzie się rozbudowywać w okolicy wejścia do góry, w której schron się znajduje. Stopniowo jednak zaczną przenosić się na powierzchnię, na nowo przyzwyczajając się do otwartej przestrzeni i mieszkania na powierzchni. W tym celu powstaną na pewno nowe budowle mieszkalne i powoli, wokół wejścia do góry, zrodzi się małe miasteczko.

Ktoś teraz spyta: i co dalej? Właściwie nic. Jeśli struktury państwowe przetrwały prawdopodobnie odbudowany zostanie cały kraj i zarówno wiedza, jak i technologie jakie przechowuje Organizacja będą w cenie. Jeśli jednak świat został tak zniszczony, że krajów już nie ma, a po pustkowiach włóczy się tylko ci, którzy umieli przetrwać, Organizacja niemal na pewno zatroszczy się jedynie o swój byt, a jej członkowie będą przez lata budowali nową społeczność.

Podsumowanie

I to by było na tyle jeśli chodzi o potężny, podziemny kompleks mieszkalny. W kolejnych częściach artykułu omówię różne (z pewnością nie wszystkie) problemy, jakie stoją na drodze budowy schronu, podsunąłem rozwiązania (niektóre być może nierealne) i naświetliłem niektóre warianty w oparciu o przykłady. Teraz czas aby ktoś się ze mną nie zgodził i wytknął jak bardzo się mylę – byle kulturalnie. ☺

Rawdan



R#7 - Historia w zdjęciach: 16 marca 1945 „Trinity” - pierwsza próba broni nuklearnej. Testowi został poddany projekt implozyjnej bomby plutonowej, takiej samej jaka została zrzucona na Nagasaki. Testu dokonano na poligonie rakietowym zwanym „Białe Piaski”, 56 km. na południowy wschód od Socorro w stanie Nowy Meksyk.

Cycki na Pustkowiach

Czyli o kobietach w literaturze i filmie postapo.

Już parę dobrych wieków temu feministki chórem krzyknęły, że między mężczyzną a kobietą, wyłączając oczywiście kwestie biologiczne, różnic jest niewiele. Chcąc zlikwidować podział na tzw. „słabą pleć” i wielkich, tryskających testosteronem twardejeli, rozpoczęły ogromną dyskusję, która huczy do dnia dzisiejszego, na temat równouprawnienia, dyskryminacji, a nawet matriarchatu. Te najradkalniejsze stale próbują udowodnić, że są bardziej męskie od niejednego mężczyzny. Przyszło im jednak żyć w świecie wygód, rozkwitu cywilizacji, który równie sprawiedliwe przyjmuje największego G.I. Jane, a na te filigranowe, wrażliwe kobietki drastycznie by zmalało? Gdyby nie było ani tuszu do rzęs, ani sklepów z najmodniejszą konfekcją damską? Poruszymy wyobraźnię i ustawmy kobietę w świecie po katastrofie – świecie zniszczonym, pełnym przemocy, bezprawia i gwałtu. W świecie pełnym kurzu, brudu, piasku i krwi – takim, w którym jednostka słabsza byłaby zdecydowanie szybciej wyparta z obiegu niż dzieje się to dzisiaj. Jakie więc miejsce zajmowałaby kobieta na madmaxowych pustkowiach?

Z diabłem i babą lepiej nie zaczynać

(...) *W niektórych co pobożniejszych miastach represjonowanie kobiet przybiera coraz skrajniejsze formy. Taką, która wyraża własne opinie, „zrzędzi”, jest nieposłuszna mężowi lub w jakikolwiek inny sposób „depcze własną kobiecość, zachowując się jak mężczyzna”, może spotkać ogolenie głowy, wypalenie znaku na czole, ucięcie języka, a w najgorszym razie nawet śmierć na stosie, albo przez ukamienowanie.*

Taką, okrutną dla kobiecych starań, wizję roztoczyła przed czytelnikiem Octavia E. Butler w dwóch powieściach pt. *Przypowieść o siewcy* oraz *Przypowieść o talentach*. Tłum tych utworów są Stany Zjednoczone w trakcie ogromnego kryzysu gospodarczego, tocząca się wojna, epidemie groźnych chorób oraz spowodowane m. in. wymienionymi czynnikami ogólne szaleństwo. Autorka w tym właśnie świecie umieszcza czarnoskóra kobietę. Lauren Olamina to silna osobowość, prawdziwa babka „z jajami”, chcąca zmieniać otaczającą ją, brutalną rzeczywistość. Była *pociskiem od dawna uzbrojonym i wycelowanym*, kobietą czynu, ryzykantką - odważną, ale i opryskliwą, zadziorną, taką, która bierze sprawy we własne ręce - nie oglądając się na innych. Jej charakter okazywał się jesz-

cze silniejszy w świetle faktu, iż Lauren cierpiała na specyficzną chorobę – hiperempatię, której objawami była wysoka nadwrażliwość, odczuwanie bólu fizycznego wraz z cierpiącymi. Istniały leki minimalizujące objawy tej choroby. Lauren jednak, niczym przystało na twardą kobitkę, zrezygnowała z ich zażywania, gdyż powodowały one ospałość, ociężałość. Ona, jako kobieta działająca, nie mogła sobie na to pozwolić, nawet za cenę bólu. Mimo tej wyjątkowo ciężkiej dolegliwości, w tak brutalnych czasach, stanęła na czele nowego, wymyślonego przez siebie ruchu religijnego – tzw. Nasion Ziemi. W jego ramach głosiła czyn, zmianę, którą każdy jest w stanie wprowadzić w życie, jeżeli tylko chce. Bóg według tej religii nie był absolutem dyktującym warunki na tym świecie. Tutaj Bogiem można było kierować, spowalniać, lub też przyspieszać jego działania wedle własnych chęci. W ludzkich rękach tkwiła wielka moc, która przy pomocy determinacji mogła zdziałać cuda. Za tą filozofią kryła się również dobrze zorganizowana praktyka mająca na celu, w czasach analfabetyzmu oraz ogólnego uwstecznienia umysłowego, intensywną wymianę wiedzy, naukę coraz szerszych kręgów wiernych podstawowych zdolności jak czytanie i pisanie oraz rzemiosła różnego rodzaju. Radykalne działania, stanowczość i kategoryczność głównej bohaterki powieści Octavii Butler uczyniły ją samą bogiem w oczach innych. W tej wizji kobieta, w opozycji do radykalnie antyfeministycznych poglądów, nie tylko jest w stanie przetrwać w postapokaliptycznym świecie, ale coś w nim zdziałać i to niekoniecznie siłą fizyczną, ale także wrażliwością, inteligencją, pomysłowością, determinacją i charyzmą.

Twardych babek na Pustkowiach znajdziemy jeszcze kilka. Bez wątpienia jedną z najpopularniejszych i najbardziej znanych kobiet postapokaliptycznego świata jest Auntie Entity, bohaterka trzeciej odsłony *Mad Maxa*. Takiej determinacji, jaką się wykazała, nie powstydziłaby się żadna silna kobieta. *Brodziłam po pachy w piasku i gównie!* – powie dobitnie Entity, spoglądając na miasto wśród pustkowi, które było jej dziełem. Cóż to za kobieta, która by osiągnąć sukces „brnie w gównie”? To dopiero stanowczość! Twórczyni cywilizacji na zgłiszczach postnuklearnej rzeczywistości ma zabójczy głos, zabójcze ciało i zabójczą koleczkę... Ma jednak też zabójczy problem. Mimo tego, że pracując nadzwyczajnie ciężko znalazła się na samym szczycie, nie mogła cieszyć się stuprocentową władzą. Została ona bowiem przyćmiona przez butnych mieszkańców podziemi. Bo to właśnie tam, na samym dole,

wśród świńskich odchodów, a nie na górze, na której znajdowała się Entity, pozyskiwano energię, prąd – bez którego trudno sobie wyobrazić normalne funkcjonowanie. Twarda diwa z *Mad Maxa* terroryzowana przez Master Blastera, szefa podziemi, upokarzana i sflamszona, mimo wielkiej siły w niej drzemącej, nie potrafiła uzyskać pełnej władzy nad wytworem swych własnych, spracowanych rąk. Cóż więc robi wobec bezradności? W tym przypadku rozwiązanie nie jest oryginalne. Ciemnoskóra, charyzmatyczna Entity potrzebuje działania prawdziwego, rasowego testosteronu. Spórą jego dawkę znajduje więc w Maxie – wojowniku pustkowi. To on ma jej pomóc usunąć ostatnią przeszkodę w drodze na szczyt. Auntie jednak daleko do drobnej, stereotypowej kobiety wspierającej się na ramieniu silnego bohatera. Jego pomoc uzyskuje stawiając mu z kamienną twarzą twarde warunki, a nie używając typowo kobiecych atutów i sztuczek – bo w ten rodzaj kobiecości bohaterka *Mad Maxa* nie wpasowuje się w ogóle. Ale czy jego istnienie na pustkowiach jest w ogóle możliwe? Czy nie ginie on przypadkiem wraz z brutalną, postnuklearną rzeczywistością?

Dość interesującą, choć równocześnie bardzo naiwną odpowiedź na to pytanie podsuwa nam powieść Vondy N. McIntyre pt. *Waż snu* (wg innego tłumaczenia – *Opiekun snu*). Konwencja, w której autorka umieszcza swoją prozę pasuje do cikliwych, staromodnych romansów – tylko, że tutaj mamy do czynienia z nieco odmienną od takowych scenerią. Świat po wojnie nuklearnej, upadek cywilizacji, ciężkie i prymitywne warunki życia, zmagania z chorobą popromienną – to w tych realiach autorka umieszcza swoich bohaterów, a raczej... bohaterki, gdyż w *Opiekunie snu* zdecydowanie dominuje pleć piękna. W tym świecie silną kobietę spotyka się podczas niebezpiecznych, samotnych wędrówek, również krępką niewiastę poznaje się w roli przywódczyni wioski, nie mówiąc już o głównej bohaterce, uzdrowicielce, która cała naszpikowana jest cechami kojarzącymi się z rzeczownikiem „siła”. O dominacji kobiet świadczy już pierwsza scena powieści, w której Wężycy (taki przydomek posiada główna bohaterka) za pomocą węży, których jad ma zbawienne działanie dla ludzkiego organizmu, dokonuje rytuału uzdrowienia. Wyobraźmy sobie tę sytuację: jej ręce, całe w bliznach, ociekające krwią dokonują cudów, podczas gdy jej twarz pozostaje niewzruszona. Obserwujący ten obrządek mężczyźni, mieszkańcy wioski, drżą z przerażenia, są zaszokowani siłą, bijącą całymi masami od postaci uzdrowicielki. Ciąg dalszy powieści polega w dużej

mierze na przedstawianiu czytelnikowi coraz to mocniejszych dowodów na to, jaka wielka charyzma, siła, determinacja i duma drzemie w naszej bohaterce – Wężycy. Wszelkie więc mentalne przejawy kobiecości u kobiet to przeszłość. Jeżeli chcemy je odnaleźć na pustkowiach Vondy McIntyre, nie powinniśmy ich szukać wśród kształtnych, jędrnych biustów (trzeba tu zaznaczyć, że wszystkie niewiasty w *Wężu Snu* są nieskazitelnie piękne, niezwykle kobiece, nieprzeciętnej urody, pociągające itd., itp.), ale wśród męskiej części społeczeństwa. Z jakimi bowiem mężczyznami mamy do czynienia w tejże prozie?

Od strony fizycznej był bardzo silny, lecz w walkę z wewnętrzną słabością wkładał tyle energii, że Wężycy poczuła obawę o jego życie – to opis jednego z mężczyzn, o którym czytamy w powieści – Alexie. Podobnych opisów znajdziemy jeszcze wiele. Mężczyźni w tej książce są, podobnie jak kobiety, nieskazitelnie piękni, umięśnieni i wysportowani niczym boski, mityczny Apollo, jednak ich charakter stoi w zdecydowanej opozycji do sylwetek damskich postaci. Wrażliwy, sentymentalny, czułościowy, czy nawet słaby, bezbronny – takimi przymiotnikami możemy scharakteryzować pleć męską u pani McIntyre. W tym świecie mężczyźni wykonują paniczne gesty, machają rękami podobnie jak w telenowelach meksykańskich, są podatni na najmniejsze zranienie, wybiegają z pomieszczeń krzycząc - To niesprawiedliwe!, uprawiają zawód tkacza, a ich naczelną funkcją w obozie jest jego „dogłębienie”. Jeżeli podczas lektury natykamy się na odmienne od opisanych postaci męskie, są one skrajnie różne od zniewieściałego typu faceta. Mamy tu na przykład schorowanego starca, burmistrza – despotę, czy jego stajennego – brutala wykorzystującego seksualnie okaleczoną dwunastolatkę. Są to jednak postaci, które poznajemy na peryferiach fabuły. Ci, którzy działają w jej centrum, to przeważnie mazgaje. Przy takim odwróceniu ról najbardziej ciekawie i najbardziej egzotycznie wypadają sceny seksu. To kobieta prowadzi mężczyznę za rękę do łóżka, poi go winem, a kiedy przechodzi do rzeczy on... się rumieni. Po stosunku natomiast wyplakuje się w jej ramionach, zwierając się ze swoich lęków i obaw. Vonda McIntyre w swej powieści chciała ukazać kobiety jako silne wojowniczkę. Ostatecznie wizja ta wyszła jej niewiarygodnie, a nawet więcej – groteskowo. Bo cóż to za świat, w którym mężczyzna płacze po stosunku, a kobieta z czułością głaszcze go po ramieniu? To nie postać! To apokalipsa w czystej postaci!

Zdecydowanie bardziej niż wężowa wizja zaginionej kobiecości, przekonuje mnie wyobrażenie kobiecości zachowanej, jednak dostosowanej do warunków nowej rzeczywistości. Gdzie jej szukać? Wodny świat Kevina Reynoldsa to opowieść o świecie, w którym nie ma już stałego ładu. Ci, którzy przetrwali wodną zagładę, muszą radzić sobie z wroga rzeczywistością, do której nie są przystosowani. Wśród nich jest Helen, uroczą, drobną

kobietą z długim warkoczem, głębokim dekoltem i zadartym nosem. Nie występuje tu ona w pojedynkę, tylko w duecie. Nie rozstaje się bowiem ze swoją podopieczną, kilkuletnią Enolą, na której plecach widnieje tajemniczy tatuaż, mapa, która ma wskazywać drogę do prawdziwego ładu. Niewinny wizerunek tej parki to tylko pozory, gdyż w obu tych postaciach drzemie niezwykła siła i zdecydowanie. Jednak cechy te nie objawiają się w odgrywaniu roli terminatorów, które pokonują wszelkie przeciwności i docierają do celu za pomocą sprawności fizycznej, potęgi drzemiącej w pięściach i umiejętności posługiwania się różnymi rodzajami broni. Ich broń to przede wszystkim spryt, odwaga i wytrzymałość psychiczna. Z pomocą tych przymiotów trafiają na łódź tajemniczego, niebezpiecznego samotnika – Żeglarza, gdyż to on, mimo swego nieprzystępnego charakteru, jest im w stanie pomóc dotrzeć do ładu. Choć obcowanie z nim ma swoje przykre konsekwencje (Żeglarz czasem walnie Helen z całym impetem wiosłem, albo ma ochotę ją sprzedać) Helen jest pełna determinacji. *Nie muszę pić przez dwadzieścia dni!* – przekonuje Żeglarza by pozwolił jej pozostać na swojej łodzi, jest gotowa oddać się mu cielesnie – wszystko, by dotrzeć do celu. Pozostaje przy tym stereotypową kobietą – potrafi zepsuć Żeglarzowi broń, uszkodzić łódź, jest nieporadna w żeglarskich warunkach (podczas gdy jej mała towarzysząca 'upiększa' łódź autsajdera uroczymi, dziecinnymi malowankami), ale... Cóż z tego? Choć Żeglarz prawie wyrwa sobie włosy z głowy, gdy widzi skutki bytowania kobiecego żywiołu w jego towarzystwie, wkrótce przyjdzie mu się przekonać, że damski urok wraz z kobiecą, nieprzeciętną siłą tworzą mieszankę godną podziwu, mieszankę, która pozwala z powodzeniem osiągnąć cele, nawet we wrogiej rzeczywistości.

Let's talk about sex, baby

Kiedy przyjdzie się do baby – portki w dół i figle-migle. Do figli najporęczniejszy jest tułów babski – powie narrator i główny bohater powieści pt. *Kys* Tatiany Tolstoj, kiedy przyjdzie mu snuć rozważania na temat kobiecej natury. Książka ta w wesoły i przerysowany sposób ukazuje Rosję po niesprecyzowanym wybuchu – Rosję, w której mamy do czynienia z cofnięciem się cywilizacji do epoki kamienia łupanego pełnej prymitywnych mutantów. Jakie miejsce zajmuje kobieta w takiej oto rzeczywistości? Cóż... Wersja Tatiany Tolstoj nie napawa optymizmem. W niej to bowiem wszystko to, o co walczyły feministki, skończyło się wraz z katastrofą. W pokatastroficzej Rosji niewiasty to jedynie maszyny do sprzątania i ciupciania. Wokół tej drugiej czynności męskie myśli skupiają się w bardzo intensywny sposób. *Baba niezawodnie potrzebna jest ludzikowi – jakże to bez baby* – czytamy w *Kysiu*, oczywiście w kontekście *figli-migli*. Bo kobiety, jak głosi mądrość w 'kysowym

świecie', nie są niezwykle dlatego, że światło od nich bije, ale dlatego, że światła z nimi nie trzeba. Męski umysł w wyobrażeniu Tatiany Tolstoj rozróżnia jednak dwa rodzaje kobiet: jeden, to te pięknie ubrane, drobne, powalające swoją urodą. Na nie się tylko patrzy i podziwia. Natomiast drugi, to ten, który potrzebny jest do pracy, do pomocy przy gospodarstwie. Z takimi kobietami zakłada się rodzinę. Nie należą one jednak do sfery sacrum – z nimi można pożartować, porozmawiać, pośmiać się. Takie kobiety zapewniają mężczyźnie ciepło, radość czerpaną z dnia codziennego. Przeważnie nie są jednak urodziwe. W *Kysiu* nieśmiało przebijają się również trzeci rodzaj kobiecości – mityczny. Niewiasta jest tu siłą sprawczą, znaczącą. Dowodem na to są wierzenia mieszkańców wioski dotyczącej końca świata. Według nich bowiem na dalekiej wyspie, na morzu, na złotym łożu leży dziewczyna, która rozplata złoty warkocz. Kiedy już go rozplecie, przyjdzie koniec świata. Ta metaforyczna rola kobiety, wskazuje na to, że pleć piękna, choć słabsza od rodu męskiego, nie jest do końca niewinna. Kobiety lubią bowiem pobarszkować, nie wstydzą się tego, potrafią sprośnie dowcipkować, pokazywać w ramach żartu nagie pośladki. A ich znaczenie w świecie jest ogromne.

O roli kobiety w świecie, a ściślej o roli udanego, pełnego życia seksualnego, którego nie można doświadczyć w pojedynkę, przekonał się także Robert Neville, bohater ostatnio słynnej powieści Richarda Methesona pt. *Jestem legendą*. Fabuła książki nie jest skomplikowana. Mamy tutaj do czynienia ze zdrowym, troszkę za grubym i za dużo pijącym (tak, tak – nieco innym niż w filmowej adaptacji książki) facetem – prawdopodobnie ostatnim człowiekiem na ziemi, który przeżył nieuleczalną zarazę. Wszyscy ci, którym udało się przetrwać, zostali przemienieni przez tajemniczą epidemię w krwiożercze stwory, przypominające wampiry (Tak! Wampiry!). Problemami naszego bohatera nie są tylko strach, trudna walka z kreaturami, ale i samotność... A także buzujące w nim napięcie seksualne.

Czytał i słuchał muzyki, potem zaczął myśleć o wytumieniu ścian, a potem o kobietach. Gdzieś w głębi ciała znów pojawił się nieznoszny supeł gorąca. Neville zacisnął wargi tak mocno, że zbieleły. Dobrze znał to uczucie i wkurzało go, że nie potrafił go zwalczyć. Narastało i narastało, aż w końcu nie był w stanie usiedzieć spokojnie (...). Cała wiedza ukryta w tomach nie potrafiła ugasić płonącego w nim ognia. Wszystkie słowa stuleci nie umiały położyć kresu bezdźwięcznemu, bezmyślnemu pragnieniu ciała. Ta świadomość sprawiła, że zrobiło mu się niedobrze. Była to obraza dla jego męskości i człowieczeństwa.

Pragnienie kobiecego ciała było ogromne, było nie do zniesienia, było tak wielkie, że stawało się niebezpieczne. Neville w walce z wampirami, nie tylko je zabijał, ale również starał się przeprowadzać na

nich eksperymenty, które miały dostarczyć mu odpowiedzi na nurtujące go pytania i pomóc zważyć złowrogi żywioł. Najczęściej jednak swoich badań dokonywał na kobietach-wampirach, wmawiając sobie, że dobór płci jest tutaj przypadkowy. Nie był. Pragnienie rozrywało Roberta od środka do tego stopnia, że krwiożercze wybryki natury również stawały się dla niego obiektami seksualnymi. Zanieczyszczenie sumienia stawało się bardziej kuszące niż w naturalnych warunkach. Cóż to bowiem było sumienie z perspektywy jedyne człowieka na ziemi? Czy nie zginęło ono wraz ze społeczeństwem? Nie chcąc zdradzać fabuły książki i psuć przyjemności lektury, powiem jedynie, że Robertowi przyszło w końcu zetknąć się z kobiecością. Jak na nią zareagował? Nie rzucił się na nią i nie dokonał wielokrotnego gwałtu. W pewnym sensie żałował, że w ogóle ją znalazł. Po trzech latach osiągnął rodzaj spokoju, pogodził się z samotnością. I tak, kiedy kobiecy sposób bycia zaczął ingerować w jego męskie przyzwyczajenia, zamiast pożądania Neville poczuł irytację. Według moich rokowań, szybko do kobiecości by się przyzwyczaił. Jednak nie ukrywajmy, kobieta potrafi namotać w męskiej rzeczywistości. Nic więc dziwnego, że wiązać się to może z irytacją. Jeżeli jednak kobiety nie ma – to się jej pragnie. A w świecie wyniszczonym przez zarazę – jeszcze mocniej.

Zróbmy sobie dziecko!

Chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć, że od stosunków seksualnych z kobietą do dzieci droga jest naprawdę niedaleka. Robert Neville nie miał przy sobie kobiety. Nie mógł więc liczyć ani na przyjemność czerpaną ze zbliżenia między dwojgiem ludzi, ani na wiążący się z tym rozrost tego małego, jednoosobowego świata. Ten oto problem to częsty motyw poruszany w twórczości inspirowanej postapokaliptyczną rzeczywistością. I tak, wyobraźmy sobie dramatyzm sytuacji, w której znalazło się społeczeństwo ukazane w prozie Phyllis Dorothy James i w filmie na podstawie jej tekstu pt. Ludzkie dzieci. Wyobraźmy sobie niedaleką przyszłość – od dziewiętnastu lat nie przyszło na świat żadne dziecko. Wyobraźmy sobie bezpłodne społeczeństwo. Wyobraźmy sobie, że powoli giną najmłodsi członkowie tego społeczeństwa, a ich śmierć to medialne wydarzenie. Czy powoli umierająca na naszych własnych oczach ludzkość nie jest wizją przerażającą? Podobne, apokaliptyczne wyobrażenia odszukamy u Briana Aldissa. W jego powieści pt. Siwobrody również mamy do czynienia z bezpłodnym społeczeństwem, które stało się upośledzone w ten sposób w wyniku eksperymentów z bombą atomową. Ziemia powoli staje się siedliskiem staruszków. Nie ma już młodych, nie ma dzieci, są tylko coraz starsi, często schorowani, słabi kondycyjnie, niedożywieni ludzie. Toczące się koło kończy swój bieg – nie będzie już nikogo więcej. Zasoby ludzkie się wyczerpują.

Katastroficzna to wizja, w której kobieta zostaje pozbawiona tej gigantycznej zdolności, tych predyspozycji, które mimo kataklizmów, tragedii i wojen sprawiają, że jednak świat nie wariuje do końca. Po starym przychodzi nowe, a potem jeszcze nowsze – tak się kręci życie. W momencie jednak, w którym kobiety stają się bezpłodne, świat ludzki się zatrzymuje i... umiera. Z takiej perspektywy bardzo silnie przemawia do nas rola kobiety, która jest wyróżniona tak bardzo, że przeznaczeniem jej jest nosić w sobie ludzkie życie. Jak widać ta niewieścia zdolność jest na pustkowiu, w przereklamowanym społeczeństwie cenniejsza niż złoto. Bez kobiety nie ma bowiem życia. Natomiast czy bez mężczyzn świat by sobie poradził?

Pobieranie materiału genetycznego z jaja jednej kobiety i uzupełnienie nim żeńskiej gamety innej kobiety, a potem wszczepienie otrzymanego w ten sposób zarodka do macicy jednej z tych kobiet (lub trzeciej) nie powinno nastrożać większych problemów. Podobne zabiegi z dwoma mężczyznami wymagałyby udostępnienia przez kobietę jej jaja, pozbawionego materiału genetycznego, ale także oferowania macicy i czasu na urodzenie dziecka. Jak widać, bez kobiet ani rusz, natomiast bez mężczyzn świat by się nie zawałił – tłumaczy Andrzej Zimniak, chemik, publicysta i naukowiec w swojej książce pt. *Jak nie zginie ludzkość*. Jego wizję odległej przyszłości zmierzają jeszcze dalej w stawianiu kobiety na piedestale. Uważa on bowiem, że za długie, długie lata ludzkość będzie dobierać cechy przyszłych dzieci zgodnie z upodobaniami – od wyglądu, po mentalność i uzdolnienia. Wszystko to bez konieczności odbycia stosunku seksualnego. Brak konieczności zbliżeń damsko-męskich przy płodzeniu dzieci z czasem spowoduje powolne słabnięcie naturalnego popędu seksualnego wśród społeczeństwa. Idąc dalej, jeżeli nic już nie będzie kręciło się wokół seksu, uczucie miłości damsko-męskiej również straci na popularności. Pozostanie tylko miłość rodzicielska, w której wraz ze swym instynktem macierzyńskim dominować oczywiście będzie płęć piękna. Mężczyźni pozbawieni typowo samczym zapędów, będą łagodnieć i łagodnieć... Aż staną się kobietami? Czy więc w dalekiej przyszłości wizja żywcem wyciągnięta z Seksmisji Machulskiego stanie się prawdopodobna? Tak apokaliptycznych wyobrażeń nie podzielał na przykład w swej twórczości Brian Aldiss, który w powieści pt. *Cieplarnia* zarysował społeczeństwo zdominowane przez kobiety. Jednak panował w nim wysoco odczuwany deficyt mężczyzny. Nowoczesne technologie nie dotarły jeszcze do tego punktu, by uczynić kobietę samowystarczalną. Do płodzenia dzieci, staromodnie, nadal potrzebna była sperma. Dlatego każdy przedstawiciel płci męskiej był traktowany z wyjątkową troską i pobłażliwością. Tam to właśnie mężczyźni byli na wagę złota. Ja po lekturze postapokaliptycznych dzieł osobiście wolę wierzyć w założenia Seksmisji i innych filmów i powieści, które

zakładają, że kobieta jest potrzebna mężczyźnie do życia, tak jak i mężczyzna bez kobiety funkcjonować nie potrafi. Przypisać jednak należy, że to właśnie kobiety zostały wyróżnione, będąc obdarzone tą niezwykłą zdolnością – tworzeniem nowego życia. Żeby to podkreślić wróćmy do Ludzkich dzieci i wyobraźmy sobie, że wśród tego bezpłodnego, upośledzonego, wymierającego i jednocześnie bardzo przerażonego społeczeństwa pojawia się ciężarna kobieta – niewiasta, która od ośmiu miesięcy nosi w sobie nowe życie. Aż dreszcze przechodzą...

I tak wszystko przez kobietę.

Na zakończenie rozważań na temat funkcjonowania kobiecych atrybutów na pustkowiach wróćmy do Mad Maxa jako symbolu postnuklearnej rzeczywistości. Nie wypada do niego nie powrócić we wnioskach całego wywodu. Cofnijmy się więc do jego przeszłości. Ta właśnie ikona gruzów dzisiejszej cywilizacji, zanim się nią stała, prowadziła całkiem zwyczajne życie – pełne miłości i czułości. Nasz wielki Max posiadał śliczny domek, rodzinę, na której czele stała jego urocza żonka – pierwsza dama katastroficznego świata. I tak Max spędzał sobie przyjemne wieczory, popijając coś beztropko ze szklanki, zapewne jakiś dobry napój, a w tych chwilach towarzyszyła mu piękna żona, przygryzając na saksofonie. Ta ukochana, seksowna kobieta, umiała mu też czas biegając po domu jedynie w koszuli, odsłaniając ku jego radości długie, zgrabne nogi. To ona powtarzała Maxowi na dobry początek dnia, kiedy on wychodził z domu, że za nim szaleje. No i biegali sobie po łąkach, sielankowo gawędzili, miziali, czule całowali. Co prawda wybranka Maxa nie za dużo miała do powiedzenia, ale w perspektywie zaczępek groźnych zbiorów, wykazywała się zimną krwią. No ba! Była w końcu kobietką wielkiego Maxa! Sielanka została jednak okrutnie przerwana. Gang motocyklowy zamordował drugą połówkę wojownika pustkowi. To wydarzenie wzburzyło naszym bohaterem do tego stopnia, że... mamy co oglądać w kolejnych częściach filmu, a skórzana ramoneska bez jednego rękawa stała się symbolem postnuklearnej rzeczywistości. Gdyby jednak nie ta kobieta, Maxa by nie było, nie byłoby legendy... ☹

Dorotka

Bibliografia:

1. Brian Aldiss: *Cieplarnia*, Warszawa 1983.
2. Brian Aldiss: *Siwobrody*, Olsztyn 2003.
3. Octavia E. Butler: *Przypowieść o siewcy*, Warszawa 2000.
4. Octavia E. Butler: *Przypowieść o talentach*, Warszawa 2003.
5. Phyllis Dorothy James: *Ludzkie dzieci*, Warszawa 2006.
6. Richard Matheson: *Jestem legendą*, Warszawa 2008.
7. Vonda McIntyre: *Waż snu*, Poznań 1999.
8. Tatiana Tolstoj: *Kyś*, Kraków 2004.
9. Andrzej Zimniak: *Jak nie zginie ludzkość*, Stawoguda 2008.

Ja i ty, ty i ja

Pokolenie B-52

Poprzedni artykuł o samolotach Zimnej Wojny był o bombowcu B-36, samolocie – można by rzec – o bardzo "falloutowym" wyglądzie. Obły, długi kadłub, zaokrąglony statecznik pionowy, bardzo grube u nasady skrzydła, wreszcie sześć silników tłokowych umieszczonych w konfiguracji pchającej. Samolot o pięknych kształtach, wysokim komfortie, maszyna z duszą. I co się z tego ostało? Nic – brutalnie rzecz ujmując – ponieważ koniec lat czterdziestych ubiegłego wieku przyniósł wręcz skokowy wzrost wiedzy na temat budowy silników odrzutowych. W praktyce objawiło to się wzrostem prędkości lotu co rusz projektowanych w tamtym czasie samolotów. B-36 nie pomogło nawet zainstalowanie dodatkowych silników odrzutowych. Samolot był powolny w porównaniu z potencjalnymi przeciwnikami czekającymi na niego po stronie radzieckiej.

Dziś jeden typ samolotu produkuje się (oczywiście z ciągłymi modernizacjami) i po trzydziści lat. Natomiast przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych w lotnictwie amerykańskim to wręcz wysyp konstrukcji, które – mimo, że nie spełniały pokładanych w nich nadziei – często produkowano po kilkaset sztuk.

Czasy Zimnej Wojny i konieczność przenoszenia broni jądrowej jedynym dostępnym wówczas środkiem transportu – lotnictwem – stworzyły potrzebę posiadania przez Stany Zjednoczone odrzutowego bombowca strategicznego. Pierwsze próby budowy takiego samolotu nie były zbyt udane. North American B-45, w którym zastosowano silniki odrzutowe o słabym ciągu, okazał się być samolotem o niskim udźwigu i zasięgu. Pałeczkę przejęła firma Boeing skupiając się na projekcie samolotu, który mógł wykorzystać ówczesną wiedzę z zakresu aerodynamiki, czy szeroko pojętej mechaniki. I tak w 1947 roku oblatano prototyp bombowca B-47. Sześć silników odrzutowych, skośne skrzydła, to tylko niektóre koncepcje, które uczyniły z tego samolotu najliczniej produkowany (w liczbie 2040 sztuk) bombowiec po II Wojnie Światowej. Samoloty te były w służbie linowej aż do połowy lat sześćdziesiątych.

Jednak i ZSRR nie zasypywał gruszek w popiele. Poprzez rozbudowę szklanego systemu obrony przeciwlotniczej na potencjalnych kierunkach lotu amerykańskich samolotów (z baz w Europie), udało im się "osłabić" koncepcję zmasowanego ataku lotniczego. W USA musiano powrócić do koncepcji lotów nadbiegunowych (międzykontynentalnych), gdyż zakładano, że budowa szklanego systemu OP na rozległych (i trudno dostępnych) obszarach Związku

Radzieckiego nie będzie opłacalna. Wreszcie druga sprawa, która wymusiła budowę nowej konstrukcji lotniczej. Otóż B-47 nie miał takiego zasięgu, który umożliwiłby mu przelot ze Stanów na zakładane cele w ZSRR. Tego problemu nie rozwiązało nawet tankowanie w powietrzu.

Wyposażeni w tą wiedzę inżynierowie z Boeinga przygotowali dokument, który stał się podstawą do budowy nowego samolotu. Nadmienię tutaj, że także konstruktorzy z Convaira pracowali – w oparciu o B-36 – nad koncepcją nowego samolotu bombowego. Jednak zwyciężcą kontraktu na bombowiec półwiecza zostało "dziecko" Boeinga. Samolot, który dostał roboczą nazwę XB-52 zrobił ogromne wrażenie na przedstawicielach Dowództwa Lotnictwa Strategicznego (SAC). Wąski, smukły kadłub, skośne, długie skrzydła oraz osiem silników odrzutowych wstępnie zapewniały parametry lotu wynoszące: prędkość maks. 920 km/h, zasięg 13000 km oraz udźwig 4500 kg bomb.

Po kilku perypetiach związanych z wdrożeniem w życie nowatorskich wówczas rozwiązań, na początku 1951 roku zapadła decyzja akceptująca produkcję B-52. Nowy dowódca SAC – słynny Curtis LeMay ("praktyk" lotów bombowych z wojny z Japonią) – zażądał wprowadzenia kilku istotnych zmian w samolocie (kabina klasyczna zamiast układu tandem). Były także już dostępne nowsze silniki odrzutowe i w rezultacie w 1954 roku

pierwsze egzemplarze seryjne B-52 mogły opuścić hale montażowe.

I tak zaczęła się kilkudziesięcioletnia "kariera" samolotu bombowego B-52, który wraz z innym dzieckiem Boeinga – powietrznym tankowcem KC-135 (opartym na konstrukcji pasażerskiego B-707) – przez wszystkie gorące lata Zimnej Wojny stał na pierwszej linii gotowości bojowej. Co więcej, istnieją plany by samoloty tego typu stosować do 2040 roku! A to dlatego, że według opinii Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, samolot ten jest idealnym środkiem do przenoszenia wysoko precyzyjnego uzbrojenia, które może być "dostarczane" do państw o znikomych, bądź żadnych możliwościach obrony przeciwlotniczej. Co pokazała druga wojna w Iraku, czy operacja w Afganistanie.

To nie żaden cud, czy magia, że konstrukcja wywodząca się z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku ma zadatki na prawie stuletnią służbę liniową. Konstruktorom z Boeinga udało się stworzyć konstrukcję na tyle uniwersalną, że przetrwała ona wszelkie nowe koncepcje i "zaciesze", które uwielbiają tworzyć wojskowi. Takiego szczęścia nie miały np. nowocześnie i ciekawie (jak na przełom lat 50-tych i 60-tych) wyglądające bombowce brytyjskie z serii V - Valiant, Victor i Vulcan. Valianty wycofano po 10 latach, Victory już w połowie lat 60-tych zaczęto przerabiać na powietrzne tankowce, zaś bombowce Vulcan miały swój "łabędzi śpiew"



B-52 zrzuciły 44660 sztuk bomb Mk 117 podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1991 roku.

w czasie wojny o Falklandy w 1982 roku, bombardując ze średnim skutkiem lotnisko w Port Stanley. Co innego skutek psychologiczny – Argentyńczycy naprawdę zaczęli się bać, że ich kraj może zostać zaatakowany z powietrza.

Natomiast Amerykanie nie byli tak "finezyjni" jak Wyspiarze. Zastosowanie B-52 to pasmo obfitości używanego (i zrzuconego) uzbrojenia, połączone z wypuszczaniem nowych wersji samolotu oraz nieustanną modernizacją posiadanych już egzemplarzy. Nadmienić jednak trzeba, że nic nie zapowiadało długiej kariery tego samolotu. Postępujący pod koniec lat pięćdziesiątych dynamiczny rozwój broni raketowej wymusił opracowanie koncepcji naddźwiękowych samolotów będących nosicielami broni jądrowej. B-47 miał być zastąpiony przez – jak się później okazało – niezbyt praktyczny w eksploatacji bombowiec B-58, zaś w zastępstwie B-52 szykowano tytana, gdy chodzi o prędkość i wysokość lotu – samolot XB-70. Prędkość lotu wynosząca 3 Machy oraz pułap 22 kilometrów miały mu zapewnić bezkarność nad przestrzenią ZSRR. Jednak postęp w budowie raketowej broni przeciwlotniczej sprawił, że konieczne stało się opracowanie samolotów latających jeszcze szybciej i wyżej – co było drogą donikąd. Ale "co cię nie zabije, to cię wzmocni" – okazało się, że choć rakiety mogą służyć do strącania samolotów, to można też je wykorzystać do przenoszenia broni jądrowej. I choć lotnictwo utraciło przez to prymat jedynego środka służącego do przenoszenia broni jądrowej, to zarazem stało się filarem "amerykańskiej triady odstraszania nuklearnego", czyli atomowych okrętów podwodnych, naziemnych siłosów oraz samolotów – środków przenoszenia broni jądrowej w postaci rakiet.

I tak, przy zmianie koncepcji użycia broni jądrowej – która miała być "dostarczana" na pole walki w postaci rakiet, a nie tylko wolno opadającej bomby – mogła w latach sześćdziesiątych rozwinąć się lotnicza kariera B-52. Trwająca zresztą do dziś.

Samoloty B-52 stosowane były do różnorodnych celów. Jednym z bojowych zadań, jakie wykonywał B-52 była oczywiście stała gotowość związana z "odstraszaniem nuklearnym". Bombowiec wykonywał także misje nad Północnym Wietnamiem, związane z klasycznym bombardowaniem wrogich pozycji. Podczas operacji "Linebacker II" (1972 rok), będącej kulminacją lotów bojowych B-52 w tej wojnie, na wietnamskie miasta zrzucono 15 tysięcy ton bomb. Wietnamczykom udało się zestrzelić dziesięć samolotów, zaś pięć stracono z powodu uszkodzeń nad Laosem i Tajlandią.

W czasie wojny Jom Kippur B-52 zostały użyte jako środek nacisku na Związek Radziecki, by nie włączył się do konfliktu po stronie Egiptu i Syrii. Uzbrojone oraz zatankowane do pełna samoloty krążyły wokół Grenlandii, gotowe w każdej chwili siać spustoszenie w arabskich szeregach.

17 stycznia 1966 roku B-52 stał się "sławnym" z powodu katastrofy nad Palomares (hiszpańska miejscowość na brzegu Morza Śródziemnego). Podczas tankowania w powietrzu doszło do zderzenia z cysterną KC-135, w wyniku czego oba samoloty zostały zniszczone. Do wody spadły szczątki samolotów, a razem z nimi cztery bomby z głowicami termojądrowymi, które przenosił bombowiec. W dwóch bombach doszło do wybuchu zapalników, co doprowadziło wydostania się na zewnątrz części materiału radioaktywnych głowic. Doszło do skażenia promieniotwórczego, a sprawa mimo upływu lat jest nadal "aktualna", gdyż dopiero w 2006 roku rządy Hiszpanii i USA podpisały umowę w sprawie całkowitego usunięcia skutków skażenia.

Dwa lata później – 21 stycznia 1968 roku w pobliżu Grenlandii rozbił się kolejny B-52 z sześcioma bombami atomowymi na pokładzie. I tym razem doszło do wybuchu zapalników oraz do poważnego skażenia promieniotwórczego, które z powodu trudno dostępnych, arktycznych terenów do dziś nie zostało całkowicie zniwelowane. Te dwa wydarzenia doprowadziły do zaprzestania 24 godzinnych powietrznych dyżurów, z bronią jądrową na pokładzie. Nadmienię tu tylko, że taką procedurę SAC wdrożyło od początku użytkowania B-52. W powietrzu zawsze znajdowała się pewna ilość samolotów (zależna od aktualnej sytuacji na świecie), krążących wokół granic ZSRR, gotowych do udania się nad wyznaczone cele w ZSRR.

Po zakończeniu Zimnej Wojny, B-52 nadal pozostał w akcji. Podczas wojny w Iraku, w 1991 roku, B-52 startujące z baz w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii oraz na wyspie Diego Garcia (Ocean Indyjski), swoją "bombową działalnością" dosłownie i w przenośni siały zamęt w szeregach wojsk irackich. No i wreszcie operacje wykonywane w ramach działań zbrojnych w Afganistanie oraz drugiej wojnie irackiej – B-52 w czasach, w których totalny konflikt jądrowy to przeszłość stał się idealnym "dostawcą" konwencjonalnego stuffu bombowego na pole bitwy.

Użycie B-52 to nie tylko działania wojenne. Samolot z racji swojej nośności dobrze sprawdzał się jako nosiciel różnych statków powietrznych. Przykładem może być program X-15 (projekt badawczy samolotu do wykonywania lotów z prędkościami kilka Mach), czy użycie go przez NASA, m. in. jako nośnik pojazdów mających zastąpić promy kosmiczne.

Mówiąc o samolocie B-52 nie można nie wspomnieć o filmie "Doktor Strangelove, lub „Jak przestałem się martwić i pokochałem bombę” z 1964 roku. Ostra satyra na ówczesne, gorące czasy Zimnej Wojny, nie przypadła do gustu wojskowemu fiszom z SAC. Choć Pentagon odmówił wsparcia przy realizacji filmu, to ekipa filmowców pod wodzą jak zawsze perfekcyjnego Stanleya Kubricka, swoimi "kanałami" zdobyła odpowiednią wiedzę, dzięki której udało się dość wiernie odtworzyć wnętrze kabiny B-52. Doprowadziło to do oskarżeń o nielegalne zdobywanie informacji. Sprawę jednak wyciszone – bo w końcu jak bardziej może się wygłupić armia niż poprzez walkę z artystami. Widzowie – czyli także i my, fani klimatów falloutowo/postapokaliptycznych – otrzymali ponadczasowe dzieło o bezsensie i szaleństwie wojny. Która – a raczej człowiek ją wywołujący – nigdy się nie zmienia.

Dziś, gdy Rosja znów zaczyna przeżywać muskuły swoimi pozostałościami po lotniczej flocie bombowców Tu-160, kto wie, być może B-52 znów będzie musiał wejść na pierwszą linię odciążając swoich nowszych, bombowych braci – B-1 czy "niewidzialnego" B-2 (kosztującego tyle ile składowe wydatki budżetu Polski).

B-52... B-52 nigdy się nie zmienia? Kto wie! ☹

Squonk

Źródła:

1. Piotr Cebulok, Leszek J. Moczulski "Boeing B-52 (monografia)"
2. Lotnictwo Wojskowe 2/1998 "Atomowa pięść"
3. Wikipedia



Zmodyfikowany B-52 ze zdalnie sterowanymi samolotami bezałogowymi typu D-21.

Oświetl to!

Prędzej czy później przychodzi taki czas, kiedy własna wiedza (lub wyobrażenie o jej posiadaniu) zostaje brutalnie zweryfikowana przez rzeczywistość. Ponieważ ta przypadłość dopada też największych tego świata – w postaci np. państw (USA i ich "misja stabilizacyjna" w Iraku) – nie ma co rozpaczać, trzeba wyciągać wnioski na przyszłość.

W moim przypadku takim poligonem doświadczalnym był któregoś nocy nagły zanik prądu. Okraszając tą sytuację wiadomym bluzgiem udałem się po awaryjne źródła światła aby nie siedzieć po ciemku jak ghul w jaskini. Skończyło się na jeszcze większych bluzgach i pomstowaniach – rzeczy, które miały mi służyć w takich sytuacjach, w chwili próby okazały się porażką.

Żeby dłużej się nie rozwodzić – sytuację udało mi się opanować, prąd wrócił po niecałej godzinie, ale co zweryfikowałem w praktyce, to moje. Stąd też mój pomysł aby w krótkim artykule omówić na konkretnych przykładach źródeł światła ich przydatność w warunkach braku prądu, który "fabularnie" możemy uznać za preludeum do klimatów POSTAPO! :-)

ZAŁOŻENIA WSTĘPNE

Nie każde źródło światła na dzień dobry musi nawalać w nas lumenami robiącymi z nocy dzień. Innej mocy światła będziemy potrzebować na otwartym terenie, innej jeszcze przy lampce nocnej. To chyba oczywiste. Kolejną rzeczą jest barwa światła. Jasne diody LED dostarczają nam białe, "zimne" światło, zaś żarówki oświetlenie w barwie zbliżonej do słonecznego. Do tego dochodzi też trwałość źródła światła oraz jego energochłonność. Dioda LED może pracować kilkanaście tysięcy godzin, zaś żarówka tylko kilkadziesiąt. Wreszcie diody wykazują większą sprawność przetwarzania energii elektrycznej na światło – żarówka traci energię w postaci ciepła. No i kwestia zasilania – wbrew pozorom baterie czy ładowalne ogniwa nie są takim nietrafionym pomysłem, jak by to się mogło wydawać.

Ale to już wyjdzie w "praniu" – czyli w omówieniu przykładów źródeł światła, jakie miałem możliwość zweryfikować w praktyce.

PRZEGLĄD LATAREK

1. Latarka akumulatorowa DY-913:

- źródło światła: 7 diod LED oraz żarówka

- zasilanie – akumulator z transformatorowym prostownikiem ładowany z sieci 230 V

Chiński kombajn kupiony dwa lata temu na rynku okazał się w chwili próby totalną porażką. Latarka służyła przy doraźnych okazjach, dając silny strumień światła – szczególnie przydatny w otwartym terenie. Jednak z czasem akumulator zaczął "gubić" pojemność, a kwestię zajrzenia do środka i oceny co jest tak odkładałem na później – z powodu m.in. trudności w dostaniu się do środka. Z racji tego, że ów sprzęt pochodzi, skąd pochodzi można mieć spore wątpliwości co do rodzaju akumulatora tam zastosowanego. Zakładam jednak, że sprzęt dalej będzie mógł służyć po wymianie go na jakiś markowy.

2. Latarka "ręczna"

- źródło światła: 2 diody LED

- zasilanie - "zrób to sam", czyli mała prądnica napędzana ścisną rączką, w środku znajduje się akumulator magazynujący energię elektryczną

Dziwny wynalazek o mało lancerskim wyglądzie, który dobrze sprawdza się jako nocna lampka. Z racji wmontowanej prądnicy, nie musimy się martwić o kwestię zasilania – wystarczy wykonać parę "ścisków" tapy i mamy światło. Jednak jego moc sprowadza się tylko do np. odszukania konkretnego klucza przy otwieraniu drzwi.

3. Latarka "czołówka"

- źródło światła: 19 diod LED (3 tryby jasności + błyskanie)

- zasilanie - 3 baterie / akumulatory (AAA)

Rzecz, którą każdy fan klimatów postapokaliptycznych powinien mieć. Czy to podczas wdrażania się w klimaty na wolnym powietrzu, czy też podczas "gmerania" w jakimś urządzeniu, np. przy zaglądaniu do środka komputera. Zakładamy ją na głowę, ustalamy jasność, a dwiema wolnymi rękami możemy operować przy interesującej nas rzeczy. Na plus te o urządzenia – o czym wspominałem na początku – można zaliczyć łatwość użycia źródła zasilania. Standardowe, małe baterie paluszki, które zdobędziemy w każdym sklepie, lub też wydajne akumulatorki wodorotlenkowe, które naładujemy w standardowej ładowarce.

4. Przerobiona latarka płaska

- źródło światła: 5 diod LED

- zasilanie - 4 baterie / akumulatory R6 (AA)



1. Latarka akumulatorowa DY-913



2. Latarka „ręczna”



3. Latarka „czołówka”



4. Przerobiona latarka płaska

Pierwotnie była to latarka wojskowa zasilana płaską baterią 4,5 V ze zwykłą żarówką. Jej zastosowanie to oświetlanie map czy dokumentów – do czego bardzo pomocna jest czerwona zasłona (jest także i zielona). Owo cudo przerobiłem na pięć pomarańczowych diod LED, zasilanych za pomocą koszyka na cztery ogniwa w rozmiarze AA (paluszki duże).

Z racji możliwości przesłonięcia diod szybką w kolorze czerwonym lub zielonym, może ona służyć jako marker identyfikacyjny.

ny w nocy lub jako oświetlenie osobistych rzeczy. Czerwone światło w nocy jest bardzo przydatne, gdyż nie podrażnia wzroku i nie trzeba ponownie dostosowywać go do ciemności.

5. Latarka kątowna
- źródło światła: żarówka kryptonowa
 - zasilanie - 2 baterie / akumulatory R14

Latarka o typowym zastosowaniu militarno-taktycznym. Łatwa w montażu do ekwipunku czy osobistego wyposażenia (pasek, spodnie, kamizelka taktyczna). Może być też stosowana jako marker świetlny z uwagi na możliwość zamontowania czterech wymiennych kolorowych szybek. Dodatkowo posiada ona tryb pracy przerywanej, za pomocą której możemy nadawać sygnały Morsa. Plusem tej latarki jest emisja żółtego światła. Jakże jest to w niektórych przypadkach ważne, możecie przekonać się oglądając film "Głębia". ;-)

6. Latarka zwykła
- źródło światła: 3 diody LED (superjasne)
 - zasilanie - 3 baterie / akumulatory R6 (AA)

Za tym mało atrakcyjnym, pękatym, wyglądem kryje się latarka o potężnym źródle światła. Zastosowano w niej trzy superjasne diody LED, których zwiększony pobór prądu (w stosunku do zwykłych, jasnych LED) może rekompensować użycie baterii alkalicznych lub akumulatorów.

PODSUMOWANIE

Czczym banałem może być stwierdzenie, że w każdym gospodarstwie domowym powinno znajdować się parę latarek, czy innych, przenośnych źródeł światła, które w razie braku prądu elektrycznego zapewnią w ciemną noc minimalne oświetlenie. To oczywista oczywistość. ;-)

Awaryjnym źródłem światła może być też świetlówka samochodowa, jednak wówczas musimy posiadać akumulator 12V z odpowiednim gniazdem. Do tego celu możemy zastosować bezobsługowy akumulator żelowy o pojemności kilku amperogodzin. Osoby mające większe zasoby mieszkaniowe mogą pokusić się na wykonanie awaryjnej instalacji niskonapięciowej na żarówki halogenowe zasilane z akumulatora samochodowego.

Ostatecznym rozwiązaniem jest oczywiście posiadanie generatora prądu elektrycznego. Jednak póki wojna atomowa nam nie grozi, Rosjanie nadal sprzedają nam gaz, a my nie przenosimy się na Pustkowia tylko nadal mieszkamy w mieście – to generator (jeśli go posiadamy) niech sobie spokojnie czeka na użycie w garażu. Natomiast w razie nagłych wyłączeń prądu w sieci ratujemy się porządną latarką. A nawet dwiema. ☺



Squonk 5. Latarka kątowna



6. Latarka zwykła

Radosny dzikus

Czyli uglądanie rzeczywistości.

Przeglądając różne zjawiska kultury, typu: film, książka, gry, związane z post-apocalyptic world zastanowiło mnie kilka faktów powtarzających się niemal zawsze, w tych obrazach. A mianowicie: robi się z biednych, niczemu nie winnych mieszkańców pustkowi idiotów i pół-małpy, a jednocześnie każe się realizować szczytne idee znane z naszego podwórka. Takie jak: uratuj księżniczkę, bądź prawy i dzielny, albo – chcąc, czy nie – wmieszaj się się w wielką awanturę zmierzającą do uratowania świata i stań po słusznej stronie. Wyśmiewają się artyści z biednych dzikusów, każą im obwąchiwać i sprawdzać zębami zapalniczki, szczoteczki do zębów i inne artefakty naszej cywilizacji, co ma wzbudzić uśmiech widza/czytającego i uczucie litości wobec biednej ofiary. I w sumie czemu by nie? Przecież światy postapo nie są nasze, nie utożsamiamy się z nimi, w większości są to kompletnie odrealnione twory, pełne piasku, śmieci i ludzi-psów pobrząkujących łańcuchami. Tyle, że próbuje się te psy nagle zmusić do funkcjonowania według wyższego systemu myślenia. Dobro, zło, walka z uciskiem i tyranią. Bo my wiemy co słuszne. Biedny dzikus pozostawiony sam sobie w przerażającym i pozbawionym sensu świecie ma się nagle cieszyć tym, co mu dajemy, odnaleźć nadzieję i moralność kształtowaną przez dwadzieścia wieków cywilizacji. Dajemy mu broń, którą dziwnym trafem potrafi sobie naprawić. Ba! Najwyraźniej potrafi ponownie napelnić łuski prochem i chemicznie tworzyć piorunian ów proch zapalający. A jednocześnie nie pozwalamy mu wytapiać narzędzi do uprawy pól i żyć jak każe zdrowy rozsądek Biega więc biedny straceniak półnagi po pustkowia, strzela radośnie ze strzelb w głowy złym ludziom, którzy szukają mapy, nie pozwalają się odrodzić amerykańskiej poczcie, lub chcą całej ropy dla siebie, zamiast zostawić ich w spokoju. Ciekawe mogły by być dywagacje jak rozwinąłby się świat po wielkiej katastrofie, ale niestety trzeba by do tego podejść poważnie, nie narzucając swoich wizji i nie próbując ubarwiać na siłę niczego. Trzeba pamiętać, że ten świat tylko pozornie wydaje się być ciekawy. Rzeczywistość, w której możesz umrzeć od głupiego zadrapania bo nie ma odpowiednich leków, albo napić się przez przypadek radioaktywnej wody i skonać w męczarniach, jest raczej mało kolorowa. Zanim kažemy realizować dzikusom swoje marzenia, pozwólmy im najpierw zrealizować swoje własne, bo to ludzie z krwi i kości, a nie kukiełki, które można dowolnie kształtować.

Na co więc warto zwrócić uwagę przy kreacji takiego świata? Przede wszystkim trzeba określić w jakim okresie dzieje się akcja. Jeśli mamy do czynienia z okresem i ludźmi, którzy przeżyli wybuch należy pamiętać, że to nadal inteligentne społeczności i zdobywcze techniczne nie są im obce. Nikt, kto jeszcze parę lat temu miał bieżącą wodę, gaz i elektryczność, nie ubierze nagle na głowę starego garnka i nie będzie biegał po pustyni. Ludzie będą starali się przywrócić stary ład. Wśród tych, którzy przetrwali będzie wielu naukowców i inżynierów, którzy będą wiedzieli jak działają urządzenia, jak je naprawiać i jak konstruować nowe. Świat ot tak, po prostu się nie zawali. Świetnym przykładem mogą być filmy "Hardware" i po części "Listonosz", gdzie technika jest obecna, tak jak i pamięć o niedawnych wydarzeniach. Ale życie stało się po prostu o wiele cięższe i trudniej w nim stworzyć luksusy cywilizacji. Z biegiem czasu sprawa techniki będzie jednak coraz trudniejsza. Brak należytego wykształcenia i doświadczenia, to że wiedza o urządzeniach była przekazywana z ojca na syna i przekaz był coraz mniej dokładny, rozpad i brak surowców, zmiana stosunków społecznych – te zjawiska mogą stworzyć świat znany nam np. z gry Fallout, lub drugiej i trzeciej części filmu Mad Max. Tutaj świat stanął w miejscu, zbyt słaby by ruszyć do przodu, ale jednocześnie na tyle prężny by się utrzymywać. Widzimy tu jednocześnie mieszaninę technologii naszej cywilizacji i prymitywizm życia w zatrzymanym świecie.

Zwrócić też należy uwagę na to, że po przetrzebieniu ludzkości przez wybuchy atomowe, a następnie choroby i trudne warunki życia liczba populacji gwałtownie zmalała, a trudny świat nie sprzyja rozrostowi. Z powodu promieniowania możemy mieć też do czynienia z mutacjami kodu genetycznego, jeszcze niewielkimi, ale już widocznymi. Stosunki między mutantami a "czystymi" mogą być niejasne, ale można się domyślać, że w kompletnie nowym świecie mutacje będą uznawane za coś naturalnego. Prawdopodobnie każdy członek takich społeczności po okresie dwóch, trzech pokoleń nie będzie w pełni czysty.

Język. To jak żyjesz określa jak mówisz. Słownictwo jest odbiciem rzeczywistości. Na przykład, cywilizacja w której nie ma szybkich środków lokomocji określa tylko przybliżony czas dotarcia do innego punktu: "trzy dni drogi stąd", lub "trzy słonce stąd". Społeczności będą się posługiwać innym językiem, bo mowa

ewoluuje, a także nowym slangiem i słownymi skojarzeniami. Sposób ich wypowiedzi znajdzie swoje odbicie w rzeczywistości. Co oznaczy, iż elementy bliskie ich codziennemu życiu będą miały dużo nowych określeń (zwróćcie uwagę ile w naszym życiu jest potocznych, slangowych określeń na pieniądze, a ile na przykład na dwurdzeniowy rezystor elektromagnetyczny), a rzeczy odległe i niepoznane zostaną w języku pominięte. Podobnie i w życiu. Każda jednostka szukać będzie najpierw rozwiązania dla spraw podstawowych. Ich problemy będą przyjemne. Obracać się będą wokół bazowych potrzeb: głodu, popędu, pragnienia i zimna. Z czasem w coraz bardziej cywilizującym się społeczeństwie potrzeb będzie coraz więcej, świadomość ludzi poszerzy się. Jednak nie w duchu naszych XX wiecznych wyobrażeń, ale w duchu rozwoju całkiem nowego społeczeństwa, dla którego elementy naszej kultury staną się z czasem całkiem obce. Tak jak dla nas obca jest w pewien sposób kultura Rzymian i Polski szlacheckiej (z tym że, oczywiście, mamy do czynienia z regresem, a nie progresem) Dywagowanie jakie to mogą być potrzeby i jak będą się ścierały poglądy zatrzymanych w czasie ludzi byłoby bardzo interesujące. Na przykład. W grze Fallout mamy gazety pornograficzne. Czy któreś z rządu pokolenie, które na co dzień było pozbawione druku, gazet i klisz, będzie w stanie wytworzyć coś tak podobnego do tego, co spotykamy w naszej rzeczywistości? Jednocześnie jednak należy pamiętać, że być może u początku tego nowego świata pewne osoby mogły zadbać o to by ten element naszej kultury przetrwał niemal niezmieniony, a kolejne pokolenia rozwijają ten pomysł.

Takie właśnie przeciwstawne poglądy są istotą tworzenia i opisywania wizji świata post apokaliptycznego. Należy pamiętać o tym by w czasie jego kreacji rozpatrywać dokładnie wszystkie elementy, uwzględnić wszystkie możliwości. I logicznie przeanalizować, jak rozwinąłby się taki świat, w którą stronę by poszedł, czego szukał i jaki światopogląd cechowałby tych nowych ludzi. Wtedy uzyskamy obraz naprawdę interesujący, pełny wewnętrznego skomplikowania i wielopoziomowych elementów, nie zaś dzikusa, który po zjedzeniu ostatniej puszki konserwowanego jedzenia, biegnie radośnie przez pustynię bo tak każe mu nielogiczna wizja artysty. ☹

Nathaniel



Jeźdźcy bez koni...

Czyli opowieść o Kawalerii Berg pióra Bergenala Smoq'a.

Kawalerski skryba w zielono-czarnym uniformie siada bliżej ogniska, ogrzewa zmarznięte dłonie, po czym zerknąwszy po zebranych wokół, rozpoczyna swoją opowieść..

Wszystko zaczęło się w roku 2077. Wojna wybuchła niespodziewanie, a po kilku tygodniach jej trwania nie było już nic. Co było przed nią, mało kto pamięta, a jeszcze mniej chce pamiętać. Jak wiele zmiołła atomowa zagłada, tego nie wie nikt – działo się to zbyt szybko, a każdy myślał tylko o tym żeby ratować własną skórę. Ludzie poukrywali się w swych domostwach, ginąc później zakopani żywcem w ich fundamentach. Ci, co nie zdołali się skryć, zginęli przynajmniej szybką śmiercią. Ci jednak, co mieli trochę szczęścia i oleju w głowie, zdołali uchronić się przed zabójczym skutkiem wrogich rakiet. Zabrali ze sobą tyle, ile zdołali i zeszli pod ziemię.

Wrota przepelnionych schronów przeciwatomowych zatrzasnęły się na kilka lat, choć ich nowi mieszkańcy nie zawsze byli tam bezpieczni. W podziemiach zalanego radioaktywną falą świata, zaczęły toczyć się nowe wojny. Żywność, woda, a czasem nawet powietrze stały się najwyższymi z luksusów. Głód, nędza i choroby dziesiątkowały ludzkość. Przetrwać mogli tylko najsilniejsi – zazwyczaj kosztem najsłabszych.

Kiedy promieniowanie opadło do bezpiecznego dla życia poziomu, schrony

zaczęły się otwierać, a ci co przeżyli – wychodzić na powierzchnię w poszukiwaniu nowego domu. Wtedy rozpoczęła się kolejna walka. To, co zostało po cywilizacji naszych przodków nie przypominało obrazów zawartych w przedwojennych książkach. Mapy nijak nie miały się do obecnego świata. Wszędzie zalegał pył, gruz i kruche pamiątki dawnych czasów. Rozpoczęto walkę o powrót do normalności.

Historia nasza zaczyna się na lotnisku w Kluczewie koło Stargardu Szczecińskiego – poniemieckim obiekcie wojskowym powstałym jeszcze w czasach drugiej wojny światowej. Olbrzymi obszar obejmował liczne konstrukcje budynków, hangarów i bunkrów, a wśród nich także najważniejszą dla nas: schron przeciwatomowy. Lotnisko po wojnie przeszło najpierw w ręce Armii Czerwonej, a po latach zostało opuszczone i przekazane miastu. Z czasem część nieużytków została zagospodarowana, a część porzucona i zapomniana. W końcu jednak miasto odnowiło pozostałości lotniska jako obiekty muzealne. Schronowi przywrócono dawną świetność i funkcjonalność, co niedługo później pozwoliło zamknąć się w nim grupie ludzi, chcących schronić się przed radioaktywnym deszczem.

Nim mogli opuścić schron, minęło ponad 20 lat i zostało ich znacznie mniej niż było na początku. Niestety walka o przetrwanie wymagała wielu ofiar. Ci, co przeżyli, wyszli spod ziemi i rozpoczęli poszukiwania miej-

sca, gdzie mogliby się osiedlić. Pierwsze swe kroki skierowali ku pozostałościom dawnej cywilizacji, ale zgłiszczą miasta szybko okazały się terenem niebezpiecznym i zdradliwym. Radiacja, betonowe pułapki walących się na głowę ścian, dziwne stworzenia czające się w cieniu zniszczonych budynków – to nie był teren zadatny do ponownego zamieszkania. Wybrańcy wrócili więc na lotnisko i tam postanowili założyć osadę wśród opustoszałych ruin, okalających nieużywany od lat pas startowy. Badając okoliczne tereny, wybrali miejsce o najlepszych do tego warunkach i tak powstało OldTown.

Osadę na początku zasiedlili ci, którzy wyszli z pobliskiego schronu, ale wbrew pozorom wieści na pustkowiach rozchodzą się dość szybko i już wkrótce zawitali pierwsi przyjeźdźni. Najpierw były to osoby, które jakimś cudem przetrwały w zniszczonym mieście, potem pojawiali się też podróżnicy z dalszych rejonów – wędrowcy ciągle szukający spokojnego miejsca, w którym mogli by osiąść. Ludzie ci często znajdowali w OldTown kres swych podróży, choć część z nich nie zabawiła tu na stałe. Na przestrzeni lat powstała tradycja zwana Porą Przybyszów, kiedy to w jednym czasie zjeżdżali się podróżni z wielu stron aby ubić interesy, odpocząć i pobawić się w tym neutralnym i spokojnym miejscu. Osada powoli się rozrastała i ciągle przybywało jej mieszkańców. Handel zaczął kwitnąć coraz bardziej, a OldTown stawało się cywilizowa-

nym i żywym miasteczkiem. Wkrótce powołano także oddziały OldTown Rangers, których zadaniem było utrzymywanie ładu i porządku. Należy zaznaczyć, że nie mała sławę osadzie przyniósł trunek ubóstwiany przez najstarszych jego mieszkańców i przez nich sprowadzany poprzez Pustkowie – piwo Berg.

W ciągu tych lat założyciele miasteczka przeczuli się jeszcze bardziej – część z nich po prostu odeszła, część zginęła. Ale trzon ocalałych byłych mieszkańców krypta pozostał w OldTown, a ich wspólna historia połączyła ich prawdziwym braterstwem. Byli dla siebie najbliższą rodziną, przyjaciółmi, kompanami – tak powstała Kompania Berg. Zajmowali się oni wtedy głównie badaniem okolicznych nieużytków i kolekcjonowaniem dóbr wydobytych z ruin upadłej cywilizacji. Pomału zdobywali narzędzia, materiały i broń oraz uczyli ich używać. Wspierali także ciągle rozwój miasteczka, co zresztą stawało się coraz trudniejsze w związku z rosnącym zagrożeniem poza murami OldTown. Bandy najeźdźców, mutanty, stwory zamieszkujące Pustkowie i inni napastnicy coraz bardziej zagrażali tej oazie spokoju.

Wtedy wydarzyło się coś, co być może uratowało miasteczko przed upadkiem. Podczas jednego z patroli w okolicach OldTown drogi Kompanii zeszedł się z pewnym umierającym, cierpiącym zwierzęciem – pierwszym i ostatnim żywym koniem jakiego widziano od wybuchu Wielkiej Wojny. Kompani zajęli się nim najlepiej jak potrafili, choć piętno, jakie odcisnęło na nim promieniowanie przesądzało los zdeformowanego zwierzęcia, którego nazwano pieśzczotliwie Maciusiem. Znajomość ta była bardzo krótka, ale na zawsze pozostała w ich pamięci, natchnęła nową mocą i dodała sił w dalszej walce o lepsze jutro. Na jego cześć przyjaciele przemianowali się na Kawalerię Berg i dopiero pod tym sztandarem zaczęli tak naprawdę aktywnie działać, stawiając sobie za cel walkę o dobro OldTown.

Pora Przybyszów przyciągała do miasteczka coraz więcej wędrowców – handlarzy, najemników, łowców głów i wielu innych – niestety także tych, którzy nieśli ze sobą jedynie chaos. Okolica z dnia na dzień stawała się bardziej niebezpieczna, bandyci panoszyli się na coraz większą skalę, a Rangers nie spełniali oczekiwań zagrożonych mieszkańców. Żeby nie przedłużać, powiem tylko tyle, że ostatecznie bandyci zostali wyparci, choć nie obeszło się bez poważnych zmian w strukturach miasta. Co dla nas najistotniejsze: Rangers zostali rozwiązani, a ich miejsce zajęła dotychczas neutralna Kawaleria Berg, która zdążyła do tego czasu uzyskać poważną pozycję polityczną w mieście. Okres ten był dla niej zresztą szczególnie owocny, gdyż zyskała ona nie tylko poważanie mieszkańców, czy miejsce w Radzie Miasta, ale także osiągnęła znaczny postęp organizacyjny. Działania Kawalerii stawały się coraz bardziej skuteczne, a dzięki zawartym podczas Pory

Przybyszów nowym przyjaźniom, jej szeregi zaczęły rozrastać się w znaczący sposób. Poszerzono zakres patrolowanych terenów Pustkowi dzięki nowym posterunkom i pozyskano nowe zasoby cennego sprzętu przedwojennego. Nowo zawarte sojusze umożliwiły szybszy dostęp do informacji na temat wydarzeń spoza granic OldTown, a to z kolei przyczyniło się do częstszych podjazdów Kawalerii w dotąd nieznane rejon. W tym czasie nasi Kawalerzyści przeżyli wiele mniej, lub bardziej niebezpiecznych przygód, ale to są już historie warte osobnego opowiedzenia. Ważne jest, że stanęli oni na najlepszej drodze ku świetlanej przyszłości. A jaka ona była, tego dowiecie się przy następnej okazji...

A mniej fabularnie - czym jest Kawaleria Berg?

Mówiąc najprościej jest to ogólnopolskie bractwo postapokaliptyczne. Grupa ta zrze-

sza znajomych o podobnych zainteresowaniach i lubiących zabawę w znanym wszystkim czytelnikom klimacie. Jej członkowie pochodzą z różnych miast Polski, ale trzon KB skupia się wokół Stargardu Szczecińskiego i konwentu OldTown, dzięki któremu ta grupa powstała. Nazwa Kawalerii pochodzi od ich znaku rozpoznawczego, którym jest piwo Berg dostępne w sieci sklepów Netto.

Działalność bractwa opiera się głównie na organizowaniu imprez w klimacie postapo, wspólnych wyjazdach, zwiedzaniu opuszczonych miejsc oraz zabawie w gry terenowe (LARP). Choć aktywność Kawalerii ma nie tylko wymiar imprez w świecie realnym, ale także i wirtualnym, czego przykładem jest ten oto nowo-powstały kącik w Reaktorze. Przede wszystkim mamy nadzieję, że dzięki niemu ukážemy Czytelnikom, że bawić się w Fallouta można nie tylko przed komputerem, ale i w bardziej aktywny sposób. ☼

Smoq



Police

Relacja z wyprawy.

Zaczęło się jak zwykle – spocony żebrak z błyskiem w przepitych oczach przylazł do naszego obozu, położonego jakieś czterdzieści kilometrów na północny zachód od OldTown, kurczowo trzymając w trzęsących się rękach jakiś rulon. Siedząc na warcie przy wejściu rzucałem sobie z nudów nożem do starego, przedwojennego plakatu, który znalazłem podczas ostatniego patrolu. Plakat przedstawiał postać jakiegoś mądrali z zaciśniętą, wzniesioną w górę pięścią.

Obdarcuch rozwinął przede mną rulon, który okazał się być mapą jakiejś starej fabryki paliw, czy czegoś takiego. Mówił sapiącym i wyraźnie przepitym głosem, w podnieceniu skacząc niemalże wokół mnie, próbując odsprzedać bractwu tą mapę za garść kapsli, albo chociaż kilka Bergów. Zawolałem jednego z naszych żeby skoczył po dowódcę, a ten zgodził się odkupić od tego człowieka o wątpliwej reputacji jego łup. Właściwie do dziś zastanawiam się skąd on mógł wziąć tą mapę? Pewnie zdarł z przygodnego trupa, albo znalazł w szafkach na gruzowisku.

Niemniej jednak, dowódca wraz z kilkoma technikami zbadał mapę, a ponieważ dzień wcześniej znaleźliśmy spory ładunek Bergów, dał obdartusowi cztery sztuki, a tamten dziękując wylewnie uśmiechnął się tak, że było widać wszystkie... właściwie to nie było widać ani jednego zęba. Mapa w istocie przedstawiała starą fabrykę paliw syntetycznych, która znajdowała się kiedyś jakieś pół dnia drogi od naszego obozu. Przesłał do kwatery głównej wiadomość



z zapytaniem o specyfikację tego miejsca i wkrótce główny komputer naszego przepastnego archiwum, mieszczący w sobie mnóstwo danych nawet sprzed wojny, odesłał garść informacji na temat tej lokacji. Fabryka zajmowała się rzekomo produkcją paliw płynnych, wykorzystując do tego paliwa stałe, takie jak węgiel. Oznaczało to, że sprzętu, baterii, samych paliw oraz wszelkich innych zasobów może tam być jeszcze sporo, bo teren ponoć niebezpieczny – więc i przeróżni stalkerzy pewnie nie zdołali wszystkiego zagrabić.

Ponieważ dowódca uznał, że powinniśmy zbadać to miejsce, w ciągu pół godziny nasz patrol był gotowy do wymarszu – spakowany, pod bronią. Radio działało, bo mieliśmy jeszcze zapas baterii, więc udało się nam skontaktować

z potencjalnym przewodnikiem – kiedyś żołnierzem, a teraz strażnikiem w okolicznej, tonącej w gruzach osadzie.

Szło się dziarsko i wesoło, więc nie minęło pół dnia i dotarliśmy do pierwszego celu. Przewodnik czekał w umówionym miejscu i po małym "pikniku" złożonym głównie z puszek kociego żarcia z dawno przekroczoną datą ważności oraz butelki Berga ruszyliśmy za nim.

Jako pierwszy uwagę przykuł powalony komin, którego długość sięgała osiemdziesięciu metrów, a średnica co najmniej dwudziestu. Kiedy nasz czujka z karabinem obserwował okolicę, cała reszta grupy rozeszła się po okolicach powalonej budowli. Zaabsorbowany resztkami budynków i podziemiami jakie otaczały znaleźisko, nie zdołałem usłyszeć do czego konkretnie służył ów komin. Widziałem za to, że wykonany był w całości ze zbrojonego betonu, a pod jego podstawą znajdował się kiedyś ogromny piec. Udało nam się nawet wspiąć na końcówkę powalonego kominu i rozejrzeć dodatkowo po okolicy.

Wkrótce nasz przewodnik zapowiedział marsz w dalszą drogę i po chwili znaleźliśmy się w pobliżu dziwnego mostu. Nie przechodził on nad żadną przepaścią czy wąwozem, a stał zwyczajnie na płaskim gruncie – jak się okazało był to most służący transportowaniu surowców do tamtego pieca, nad którym znajdował się powalony komin. Na pewno na przęsłach mostu umocowane były taśmociągi albo inny sprzęt, który przed wojną przewoził surowce. Ponieważ w pobliżu znaleźliśmy kilka płytek PCV, od razu zaczęły się krótkie zawody w Platethrowing – wygrał jak zwykle Mały. Po meczyku, grupa zebrała się i ruszyła w dalszą drogę.

Gdy przechodziliśmy wzdłuż podejrzanych zarośli nie obeszło się bez nerwowego szeptania, cichego skradania się



i celowania bronią we wszystkie strony – w końcu kto wie czy jakieś przerośnięte zmutowane jaszczurki, albo co gorsza bandyci nie czają się z pułapką na nas. Zacząłem się zastanawiać czy nie powinniśmy byli wcześniej trochę ciszej śpiewać i gadać, ale trudno. Na szczęście droga okazała się bezpieczna i niedługo potem dotarliśmy do grupy wysokich budynków.

Czujka od razu wspiął się na dach jednego z nich żeby dobrze obserwować okolice. Reszta dotarła tam za nim po jakimś czasie i znowu zrobiliśmy mały piknik. W oddali widać było sporo pozostałości otaczającego nas miejsca: zniszczone budynki, kawałki płotu i jeden szczególnie interesujący, spory budynek, którego górne ściany zastanawiały się kiedy zwały w dół. Widoczne w oddali potężne silosy zdradzały dopiero teraz jak ogromne jest to miejsce.

Po przerwie na Berga zeszliśmy na dół (czujka oczywiście ostatni) i ruszyliśmy w stronę owego interesującego budynku. Po drodze napotkaliśmy dwa spore, podłużne schrony, o dziwo mające białutkie ściany – czyli żaden powojenny złomiarz nie próbował tam niczego palić żeby tylko wyciągnąć z kabli cenne metale. Było ciemno, ale każdy szanujący się Kawalerzysta nosi przy sobie jakieś źródło światła, a ponieważ trzy tygodnie temu znaleźliśmy podziemny skład zaopatrzenia, który służył przed wojną dla jakiejś jednostki strażackiej, to i baterii było tam sporo. Nasi technicy wiedzieli co z tym zrobić, to i światła mieliśmy ile trzeba. Po dokładnym zwiedzeniu schronu, który przypominał tunel na powierzchni, wyszliśmy na zewnątrz. Tuż obok był wspomniany wcześniej budynek z walącymi się u góry ścianami. Wewnątrz niego znajdowały się, prowadzące od samej niemal góry aż do parteru, potężne, betonowe leje, u podnóża których znajdowały się spore góryk mialu węglowego.

Część naszych wdrapała się na pierwsze piętro by dokładnie to obejrzeć. W tym czasie kolej na wartę przypadła mi, więc przejąłem rolę czujki. Starałem się patrolować okolicę budynku, będąc w zasięgu wzroku pozostałych członków ekspedycji. Niczego szczególnego nie znalazłem. Gdy już grupa zebrała się po sprawdzeniu tej części budynku, do której był łatwy dostęp, zebraliśmy się w kolumnę i poszliśmy dalej – ja na końcu, jako straż tylna.

Nie uszliśmy jednak daleko, gdy czujnik promieniowania na pancerzu Monka odezwał się sygnałem "pod-alarmowym" – co oznacza, że w pobliżu promieniowanie zaczyna wzrastać i trzeba być ostrożnym. Po krótkim rekonesansie zauważyliśmy, że obok drogi, którą idziemy znajduje się betonowy rów z jakąś podejrzaną mazią. Na prawo od drogi znajdował się natomiast spory schron podziemny. Po zbadaniu okazało się że promieniowanie emitowane jest przez ową maz w betonowym rowie, natomiast schron jest czysty.

Tetora – dowódca ekspedycji, rozdzielił nas na dwie grupy. Pierwsza, po założeniu odzieży ochronnej zbliżyła się do rowu żeby lepiej się mu przyjrzeć, trzymając w pogotowiu broń, na wypadek gdyby ze znajdującej się tam cieczy wyskoczył jakiś popromienny stwór – kto wie co tutaj można znaleźć. Druga grupa zeszła natomiast do podziemi, gdzie Koza w brawurowy sposób przyłożył łbem o sufit. Zdarza się i najlepszym. W podziemiu najpierw natknęli się na pomieszczenie z zalaną wodą podłogą, a po jego przebyciu sporą salę, w której znajdowały się stalowe drzwi – zamknięte i niepodobna ich było ruszyć. Smoq natychmiast wysłał na powierzchnię dwóch ludzi po materiały wybuchowe.

Tymczasem, pierwsza grupa pobrała próbki mazi i przerzuciła resztki złomu znajdującego się w rowie, a wśród nich znaleźli między innymi kompletne prze-



rdzewiały karabin AK-112, ale bez magazynka. Sensu w zabieraniu takiego złomu oczywiście nie ma za grosz. Grupa wypelzła z rowu i po zdjęciu sprzętu ochronnego zapakowała go w, specjalnie na tę okazję opracowane przez techników KB, pojemniki. Dzięki nim można było bezpiecznie przetransportować tak napromieniowany sprzęt do bazy i oczyścić go tam bez konieczności zużycia zasobów w trakcie ekspedycji.

Gdy ekipa badająca rów ścigała kombinezony ochronne i maski, do podziemnego schronu wracała dwójka ludzi wysłanych przez Smoq'a po materiały wybuchowe. Nie minęło dziesięć minut i ze stalowych drzwi zostały powyginane blachy, a grupa miała już dostęp do ukrytego za nimi pomieszczenia. Był to niewielki magazyn sprzętu, prawdopodobnie zapomnianego w chaosie wojny, wiele lat temu. Znajdowało się tam mnóstwo latarek, baterii, krótkofalówek i kabli. Większość tego została niestety poważnie naruszona przez czas, ale kilka latarek i baterii udało się uratować. Doszła też jedna krótkofalówka, ale na jej obudowie widać już było ślady pierwszej rdzy. Znalezione sprzęt spakowaliśmy równomiernie w naszych plecakach i po sprawdzeniu czy mamy wszystkich, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Po kilkunastu minutach, zza wyschniętych drzew ukazał się nam jeden z najważniejszych elementów naszej wyprawy – silos, a właściwie cztery silosy położone blisko siebie. Wielkie, betonowe konstrukcje o średnicy co najmniej trzydziestu metrów. Podejście do nich było dosyć proste, bo pomiędzy nimi znajdowały się łączące je ziemne nasypy, na które bez problemu można było wejść.

Niestety, tutaj spotkało nas rozczarowanie. Silosy nie tylko nie zawierały ani kropli żadnego paliwa czy innych cennych zasobów – ale porośnięte były drzewami i krzewami – czyli zostały opróżnione już dawno temu. A skoro tak, raczej nie ma co liczyć na to, że w innych bateriach silosów, które spodziewaliśmy się tutaj



jeszcze znaleźć (zgodnie z tym co pokazywała mapa) znajdziemy coś więcej. Teraz wypadło zastanowić się co dalej. Nawet jeśli wszystkie silosy są puste, to jednak niedawne znalezisko w podziemnym schronie sugerowało, że możemy znaleźć coś więcej w tym terenie.

Zebrawszy się na krótką naradę podjęliśmy decyzję, że należy przyjrzeć się jeszcze innym obiektom w okolicy, bo nie wiadomo co mogą jeszcze kryć. Ponieważ jednak minęło już sporo czasu odkąd wypiliśmy poprzedniego Berga i zagryźliśmy go puszką Kocich Nerek, najpierw rozłożyliśmy się na trochę, a ja z chęcią przekazałem rolę czujki kolejnemu w kolejce.

W międzyczasie nasz komunikator odebrał sygnał z Kwatery Głównej o wysłanych w naszą stronę posiłkach w sile dwóch Kawalerzystów (a właściwie jednego Kawalerzysty i jednego rekruta-amazonki). Przewodnik w tym czasie oznajmił że musi opuścić naszą ekspedycję, uznając że już się raczej nie zgubimy. Czekaliśmy więc na posiłki – jednocześnie posiłki spożywając – od czasu do czasu jak zwykle robiąc coś głupiego i rozmawiając o bzdurach.

Niestety, nasz wartownik niezbyt dobrze przyłożył się do obowiązków i zaabsorbowany smakiem Berga trzymanego w ręku nie zauważył kilku zbliżających się miejscowych. Zauważyli nas, ale pomachali i oznajmili że chcą jedynie przejść w swoją stronę – no, przynajmniej znali etykietę pustkowi, więc nie robiliśmy im problemów. "Myślałem że sobie przejdą i nas nie zauważą" – mówił potem nasz czujka. "Brahmina też myślała i zdechła" – odpowiedziałem.

Po odebraniu dwójki spodziewanych Kawalerzystów, zebrał się w dalszą drogę.

Długi czas szliśmy wśród suchych drzew i krzewów, których pasy przecinane były niekiedy resztkami płotów drucianych – pozostałości po segregacji terenu



na mniejsze sektory. Trzeba było też uważać na sporo wilczych dołów jakie napotykalismy na swojej drodze – ale na szczęście nikomu nie trafiło się do żadnego wpaść.

Kiedy nasz stary, ale działający, przedwojenny zegarek wskazówkowy zaczął oznajmiać, że zbliża się godzina szesnasta, dotarliśmy wreszcie do interesującego miejsca. Podłużne, półokrągłe hale ciągnęły się tutaj na duże odległości, ale co ciekawsze, w ich okolicach znajdowało się sporo podziemnych tuneli, do których oczywiście natychmiast zeszliśmy.

Poszukiwania w ich obrębie początkowo nie przyniosły żadnych rezultatów i już mieliśmy zawiedzeni dać sobie spokój, kiedy jeden z nas – a ściślej mówiąc ja – odkryłem, że w jednym z tuneli jest dziw-

ny choć delikatny przeciąg – jakby od ściany tunelu. Obejrzawszy dobrze z latarką w rękę całą ścianę odkryłem, że ma kilka otworów przebitych na drugą jej stronę – najprawdopodobniej kiedyś były tutaj drzwi.

Zawolałem do siebie resztę żeby powiadomić ich o znalezisku i po chwili przy pomocy kilofów (tak czasami taszczymy ze sobą jeden lub dwa, na wypadek gdybyśmy chcieli założyć gdzieś kopalnię węgla kamiennego) rozłupaliśmy zamurowany fragment w ścianie na drobny pył. Widok po drugiej stronie był po prostu piękny. Najprawdopodobniej jakiś wyższy rangą oficer tego kompleksu urządził sobie tutaj niezły składzik i chyba chciał uchronić jego zawartość przed wścibskimi oczami. Pomieszczenie było pełne skrzynek z piwem, whisky i puszek z jedzeniem – kawior, kawa, orzechy. Ten, kto to tutaj schował prawdopodobnie gryzł już teraz piach, a co trupowi z fantów? Ale chomik ten nie był głupi – wiedział, że w nawet najbardziej zdemoralizowanym świecie najcenniejsze będą zawsze używki – nie bezwartościowe pieniądze. Nasza ekspedycja nie wyruszyła więc na marne.

Pojawił się jednak problem. Na plecach tego wszystkiego nie wyniesiemy, a jeśli weźmiemy tylko część by potem wrócić po resztę, to mogą to już rozkraść tutejsi (w końcu zobaczą nas tachających ładunki). Zostawić tutaj kilku na warcie to też nie był dobry pomysł, bo było się tutaj o co zabijać. Aby jednak nic się nie zmarnowało, pozostawało nam więc zrobić tylko jedno...

Do stanu pełnej świadomości wróciliśmy po około dwóch tygodniach i wtedy też zebrał się w powrotną drogę, w blasku zachodzącego słońca kierując się w drogę powrotną do naszego obozu. ☼

Rawdan



Wyprawa 44 Wyspy

Dzień 1

Zaczął się oczywiście od tego, że dzień przed wyjazdem nieźle się bawiliśmy do późnej nocy, a wstać trzeba było na wcześnie popołudnie. Szczegóły nocy poprzedzającej wyprawę nie są jednak istotne. Warto jedynie wspomnieć, że nie każdemu zdarza się, że jedzie na taką eskapadę by dźwigać ciężki plecak przez parę kilometrów w różnorodnym terenie, a wyrusza po paru godzinach snu, lub nie śpiąc niemal wcale. Ale co Kawalerzysta, to Kawalerzysta.

Na początek na godzinę utknęliśmy w Szczecinie Dąbju w oczekiwaniu na pociąg do Świnoujścia. Kiedy już nadjechał okazało się, że jak zwykle PKP uznało, iż w pociągu, w którym ludzie stoją na korytarzu i tak jest jeszcze sporo miejsca (choćby na dachu). Ale nic to, zadowiliśmy się w klasycznym "żółtku" jak to Kawaleria: część pośród pasażerów w przedziałach, a reszta w przedsionku do wyjścia, gdzie udało nam się poznać uroczą Natalię, która akurat przypadkiem kierowała się w podobnym kierunku.

Dziwnym trafem część pasażerów przechodziła do nas z zapytaniem czy nie mamy na sprzedaż piwa. Nie rozumiem skąd im to przyszło do głowy, bo skoro piliśmy jakieś piwo w pociągu, to znaczy, że mamy piwo do picia – nie na sprzedaż. Zresztą wiadomo, że w KB nigdy nie ma dość zaopatrzenia.

Podróż była całkiem wesoła. W którymś momencie nasz nieoceniony człowiek-skała

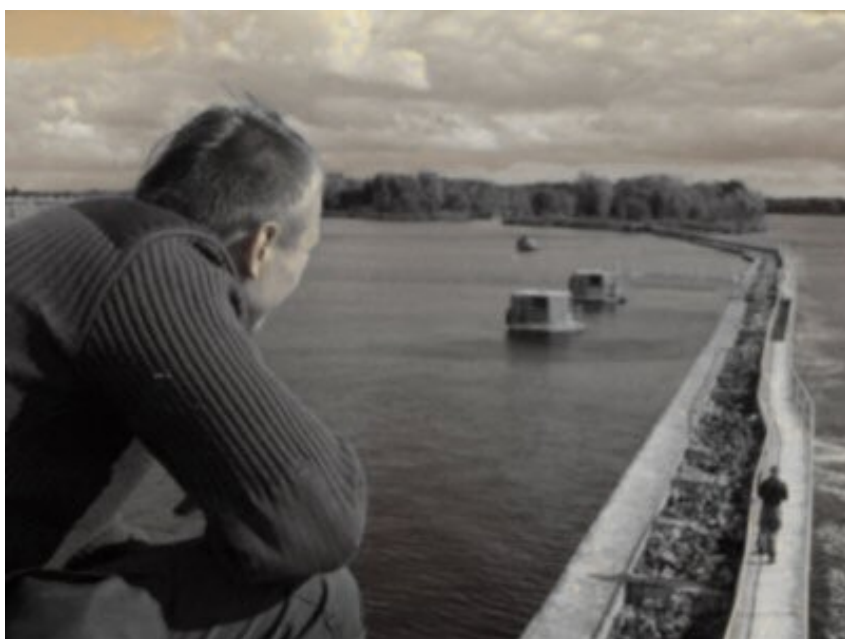


(Mały) przebrał się w kombinezon OP-1 i maskę przeciwigazową, a nasz muzyczny druh Koza, w koszulce "Ochrona", z pistoletem w kaburze zapiął Małemu kajdanki na rękach i przeprowadził przez cały pociąg. Min ludzi nie widziałem – dopiero na zdjęciach miejscami było widać co najmniej zdziwienie. Nawet Pani "nie palić w pociągu" Konduktor była pod wrażeniem, że udało nam się ująć groźnego chemo-terrorystę. Minęliśmy Międzyzdroje i niedługo później wysiedliśmy na przystanku kolejowym "Lubiewo". Nie rozumiem tylko dlaczego ludzie robili nam z pociągu zdjęcia. Po

chwili na rozprostowanie kości - jako szef i przewodnik ekspedycji - nakazałem marsz.

Skierowaliśmy się najpierw w stronę wyrzutni testowej V-3 w Zalesiu pod Międzyzdrojami. Ponieważ niedawno ukończono w pobliżu budowę nowej drogi, mogliśmy w dosyć dobrych warunkach maszerować do celu. Pod muzeum, znajdującym się nieopodal pozostałości wyrzutni (poczwórnej), było kilkoro ludzi i atrapa armaty zrobiona z rury po szambie i kawałka blaszki. Zebraliśmy parę groszy i muzealny przewodnik zgodził się nas wpuścić do wnętrza bunkra-muzeum i opowiedział o całym przedsięwzięciu III Rzeszy na tym terenie. Było całkiem ciekawie. W muzeum znaleźć można takie rarytasy jak: MG-42, Mosin Nagant, Maxim, Panzerfaust oraz sporo niemieckich hełmów, czy też pordzewiałe pozostałości wielu innych broni z okresu II WŚ. Był tam też model rakiety V3 i jej wyrzutni. Jednym słowem – opłaciło się wydać tych parę złotych, tym bardziej, że można było potem ładnie pofotografować się z wieloma z tych sprzętów. Pan z muzeum dał nam też muzealną księgę gości, do której oczywiście z chęcią się wpisaliśmy.

Syci wiedzą na temat V3, ponownie "zaczisnęliśmy poślady" i ze sprzętem na sobie, ruszyliśmy w stronę plaży w Lubiewie. Po drodze zdarzało się trochę pośpiewać. Gdy dotarliśmy do plaży było już dosyć ciemno. Nasz skromny obozisk rozstawił się dosyć szybko, część z nas z własnej woli poszła się wykąpać w morzu – jedynie Case nie z własnej woli. Niedługo potem zaczęło padać – część z nas schowała się do namiotów, a Ci którzy nimi



nie dysponowali schronili się pod schodami, które służyły jako wyjście z plaży. Nie był to najlepszy pomysł zważywszy na to, że po niedługim czasie w wyniku długo padającego deszczu ze schodów woda leciała na nas ciurkiem. Ale ponieważ nasz kompan w podróży, Ziemowit, postawił nam Whisky – mało kto zwracał na to uwagę. Nawet gdy podczas snu strumień wody leciał mu prosto na twarz. Najlepiej jednak urządził się Mały, chowając się w stojącym na plaży śmietniku – szczęściarz, bo śmietniki przecież nie przemakają. Noc była dosyć zimna, ale Kawalerzyści nie takie znoszą znoje.

Dzień 2

Pobudka zimna i mokra. Kto spał w namiocie, oczywiście przetrwał to nie najgorzej (choć zdaje mi się, że ktoś wspominał, że jego namiot miał wewnątrz sporo wody), ale pozostali obudzili się całkowicie przemoczeni. Na dodatek wciąż padało, a zgodnie z planem mieliśmy ruszyć wzdłuż plaży aż do latarni w Świnoujściu. Nie chcąc jednak zmoknąć jeszcze bardziej, zmieniliśmy tę koncepcję i zaraz po spakowaniu się weszliśmy w las i ruszyliśmy leśnym traktem w stronę Świnoujścia. W lesie deszczu było mniej, ale z drzew też skapywało co chciało. Tuż przed wymarszem nasze szeregi opuścili Cień i Nad, którzy postanowili wracać do Międzyzdrojów i stamtąd pociągiem do Szczecina. Reszta ruszyła dalej i trzeba przyznać, że przesadnego marudzenia nie było.

Po jakiejś godzinie, a może dwóch, dotarliśmy do starej, już nieczynnej i opuszczonej bazy rakietowej obrony powietrznej. Zaadaptowaliśmy tam jakiś blaszany hangar na nasze potrzeby. Dziwne, że nie zechciało się nikomu zwiedzić tej bazy, bo została zamknięta dosyć niedawno i cały kompleks nie był w najgorszym stanie – zwłaszcza budynek administracyjny, w którym jeszcze były szyby. Gdy część z nas odpoczywała i zastanawiała się czy rozpaść ognisko, kilka osób wybrało się w ramach patrolu wzdłuż betonowej drogi, z którą krzyżował się leśny trakt. Po jakimś czasie wrócili i zameldowali, że droga prowadzi do szosy, przy której dodatkowo znajduje się przystanek autobusowy. Ponieważ każdy był głodny i przemoczony, postanowiliśmy podjechać autobusem z przystanku i dotrzeć do Świnoujścia w mniej "postapo" sposób.

W autobusie było dosyć zabawnie – nie obeszło się bez głupawych żartów i zwrócenia na siebie uwagi pasażerów. Ale do tego idzie się już przyzwyczaić. Gdy autobus dotarł już do końca swojej trasy i wylądowaliśmy pod dworcem PKP i przeprawą promową, grupa rozdzieliła się. Część postanowiła "zwiedzić" pobliski pub, a reszta przeprawiła się na drugą stronę kanału aby odwiedzić magazyny Federacji Netto i trochę zaopatrzyć całą ekipę. W ciągu półtorej godziny byliśmy już z powrotem na promie.



Nasz autobus, który miał zawieźć nas tym razem do leżącej na sztucznie powstałej wyspie niedaleko zewnętrznej przeprawy promowej (przewidzianej dla przyjeżdżnych spoza miasta) wioski Karsibór wkrótce się pojawił, a my, zebrawszy całą grupę i bagaże, wpakowaliśmy się do środka zajmując 1/3 autobusu. Po raz kolejny wzbudziliśmy u pasażerów sensację, zwłaszcza podśpiewując i wydzierając się do siebie przez autobus. Tymczasem kierowca dziarsko wioził nas przez dzielnice Warszów, Ognicę aż do sławetnego mostu na wyspę Karsibór, po przekroczeniu którego, wypakowaliśmy się z autobusu.

Byliśmy na miejscu – do dawnej bazy szkoleniowej U-Bootów było już tylko kilka kroków. Stara, odwiedzana dziś często przez wędkarzy i ptactwo baza była basenem połączonym z kanałem, pełnym pomostów i resztek infrastruktury kompleksu. Przy wyjściu z basenu leżały jeszcze wraki starych, drewnianych kutrów rybackich. Kiedyś wypływały stąd okręty podwodne – dzisiaj czasami zawijają tutaj prywatne jachty.

Miejsce na obóz było w zasadzie idealne. Obok jednego z pomostów, znajdował się budynek dawnego warsztatu z nieprzemakalnym dachem i ścianami wyposażonymi niegdyś w na tyle duże okna (po których dziś ani śladu), że wewnątrz można było spokojnie rozpaść ognisko. Po jako takim przygotowaniu obozu ognisko płonęło, a ubrania suszyły się ładnie na sznurku. Dookoła w lesie pełno było drewna opałowego, a do sklepu nie tak znowuż daleko.

Po stronie, po której basen bazy oddzielony był fragmentem lądu od przekopanego obok Kanału Piastowskiego ląd ten przedłużony był długim, choć wąskim falochronem, na końcu którego znajdowała się czerwoną, niezbyt wysoka, latarnia. Udało nam się oczywiście zwiedzić ją nie raz, ale wiecz-

rem, chłopaki poczuli potrzebę ekhm... ekshibicjonistyczną i wybrali się na tą latarnię. A trzeba zaznaczyć, że latarnia ta, w miejscu gdzie kończy się falochron, na którym jest położona nie ma daleko do przepływających w pobliżu promów przeprawy "Karsibór". To jeszcze bardziej zachęciło chłopaków do wejścia na szczyt latarni, zdjęcia spodni i... resztę zostawiam domysłom – najzabawniejsze w tej historii są flash'e aparatów fotograficznych błyskające w tym momencie na promie. Noc była z pewnością cieplejsza i suchsza niż poprzednia.

Dzień 3

O poranku okazało się, że zaczyna poprawiać się pogoda i tego dnia przez cały niemal czas było słonecznie i ciepło. Niestety, był to dzień kiedy należało już powrócić z wyprawy i część osób musiała zmywać się na pociąg około południa, a część nawet wcześniej. Ja i paru jeszcze ludzi z naszych szeregów zostało na kolejną jeszcze noc. Dzięki temu miałem okazję pogonić nocą bobry gryzące beczelnie wrzucony do wody drewniany drag.

Przez te dwa dni udało nam się jednak razem spotkać, razem się pomęczyć, przemoknąć, razem pośmiać się i poimprezować w kawalerskim stylu. Niestety nie udało się do końca zrealizować wszystkiego, co było zaplanowane. Mieliśmy w planach między innymi odwiedzenie baterii "Goben", pomnika lotników RAF na wyspie Karsibór, fabryki torped i min wodnych na Mulniku i parę innych interesujących nas miejsc – niestety pogoda pokrzyżowała te plany. Ponieważ jednak nie była to już druga nasza wyprawa w te strony, możliwe że za rok pojedziemy znowu – chcesz zabrać się z nami? ☺

Rawdan

Statut

Bractwa

O NAS:

- We are the BoB – Resistance is futile.
- Jesteśmy paramilitarną organizacją, której zadaniem jest kopanie tyłków i żucie gumy (I PICIE PIWA) – a zabrakło nam gumy...
- Nie dyskryminujemy nikogo ze względu na rasę i przynależność gatunkową.
- Dyskryminujemy natomiast za wszelkie przejawy nazizmu, rasizmu i fundamentalizmu religijnego.
- Postulujemy wolny dostęp wszystkich istot do informacji, broni palnej, broni białej i środków masowego rażenia. I PIWA oczywiście.

O PIWIE:

- Piwo jest dobre jak jest... jak jest.
- Piwo bezalkoholowe to bluźnierstwo przeciwko świętości i integralności ontologicznej piwa.

O BRONI PALNEJ:

- Wierd Al Yankovic - Trigger Happy (ta pieśń oddaje nasze nastawienie do tego środka perswazji i radosnego destrukcjonizmu).
- Have more fun through superior firepower.

O ENERGII ATOMOWEJ:

- More Nuke Power!

MOST WANTED:

- Piwo.
- Chicks.
- Materiały rozszczepialne.
- Broń palna.

NIEFABULARNY STATUT BRACTWA:

1. Przede wszystkim jesteśmy grupą kumpli i przyjaciół, którzy sobie ufają i dbają o siebie nawzajem.
2. Jesteśmy bractwem postapo - falloutowym w szerokim zakresie rozumienia tych terminów.
3. Jesteśmy grupą paramilitarną, sformalizowaną i zhierarchizowaną.

Celem hierarchizacji i formalizacji jest:

- osiągnięcie złożonych celów,
- utrzymywanie porządku,



Zakonki 2008

Relacja.

Impreza zaczyna się dla mnie w momencie gdy, po 6 godzinach pracy, zabieram 3-osobową załogę mojego Interceptor z Gdańska Głównego. Pierwszym wyzwaniem z jakim musimy się zmierzyć jest spakowanie broni, pancerzy, geno oraz naszych gratów do samochodu. Ciężko było, ale się udało, a nasza grupa zyskała tytuł: "zip commando". Następne 8 godzin spędzamy w trasie wkręcając sobie klimat i głupie zajawki. W pobliżu miejsca desantu pojawiają się mocno klimatyczne mgły i pada tekst: "Wiecie, wszystkie horrory zaczynają się tak, że grupa przyjaciół jedzie do lasu" – i nagle w radiu słyszymy dzwony i wszyscy wkręcamy się w atmosferę coraz mocniej. Desantujemy się na miejscu i witamy ze znajomymi. Czas zjeść coś ciepłego - i w końcu mogę napić się piwa! :) Rozpalamy ognisko i rozkręcamy imprezę – na razie tylko w naszym, bobowym gronie.

Jest sympatycznie, ale chyba komuś z uczestników przeszkadzamy. Spać idziemy gdy robi się już jasnowo, całą winę za hałas zwalając na Zakon. :)

Następny dzień: pobudka, zebranie ludzi, małe śniadanko, wciągamy pancerze i rozpoczynamy właściwego LARP-a. Najpierw czeka nas mała strzelanka jako wprowadzenie (genialny pomysł integracyjny z pomieszczeniem składów), potem przechodzimy do głównego questu i zaczyna się prawdziwa zabawa: znajdowanie map, przeszukiwanie podejrzanych, aresztowania, rozpędzanie jednoosobowych nielegalnych zgromadzeń (Solcz :)), patrole poza miasteczko, knucie i kombinowanie, legalizowanie map i konfiskata "rachunków z Tesco", wymuszenia i inne rutynowe działania policyjne. Jest tak dużo roboty, że umyka mi westernowy pojedynek -

- dodanie klimatu i dobrej zabawy z tym związanej,
- wzmożenie dyscypliny potrzebnej do realizacji określonych celów;

UWAGA!

Hierarchia i formalizacja w żadnym wypadku nie mogą stać się ważniejsze od relacji przyjacielskich (pkt1)!

4. **Działalność Bractwa osadzona jest w real life:**
 - wyjazdy w klimatyczne lokacje, eksploracja, poszukiwania ciekawych miejsc,
 - gry, zabawy i imprezy terenowe,
 - rękodzieło (od konstrukcji polowych, przez pancerze i inne stroje po całą technikę i elektronikę),
 - twórczość artystyczna (literacka, plastyczna, filmowa itd.);
5. **Nasze działania osadzone są w alternatywnym świecie postapo, tworzymy w miarę spójną historię larpową (działalność w warstwie fabularnej łączy się z real life).**

a szkoda, bo chciałem wziąć w nim udział. Szczególnie ciekawa jest akcja z zakupem kontrolowanym, gdzie zdradzamy różne frakcje chyba po 4 razy (a one, jak podejrzewam, nie pozostają nam dłużne i dlatego nasz plan nie przebiega do końca tak, jak to sobie zaplanowaliśmy, ale i tak jest mega fajnie). Później przychodzi wreszcie chwila odpoczynku. Można usiąść i napić się piwa, coś zjeść. W tym czasie mamy już sporo kluczy - dzięki układowi z Zakonem i odstrzeleniu Darkena (nie było mnie przy tym, ale podobno akcja była na maxa klimatyczna).

Gdy zapada zmrok dowiadujemy się, że w pobliżu wykryto radiację. Oslaniamy techników kopalnianych, którzy usuwają anomalie, gdy nagle atakują nas straszne, wielkie i niebezpieczne mutanty! Staramy się zachować zimną krew, ale niektórzy z nas krzyczą z przerażenia. W czasie tej nierównej walki z mutantami słyszymy alarm w mieście. Nie możemy jednak iść na pomoc - musimy skończyć naszą robotę. Udaje się! Dobiegamy do miasta - a tam połowa mieszkańców zmieniona w zombi! I znowu walka. Ale coś nie pasuje - marnujemy coraz więcej amunicji, a one dalej chodzą! W końcu w akcie rozpaczyci rzucamy się na zombiaki z bronią białą - i to działa! Zombiaki giną jeden po drugim. Uff.. w końcu można zdjąć pancerze, odłożyć broń i iść do baru, gdzie trwa turniej w pokera. Grill, piwko i muza, wszyscy bawią się fajnie, czasami wywiązują

ją się nawet poważne rozmowy. :) W końcu idziemy spać około 3 w nocy.

Budzimy się i dowiadujemy, że odbędzie się turniej "nad przepaścią" na broń białą. Mimo mojego lęku wysokości udaje mi się zająć pierwsze miejsce i zdobyć kody do stworzenia 6 klucza. Raptem okazuje się, że w czasie turnieju przy bramie wyjściowej z miasta pojawiła się radiacja. Uratować nas może tylko otwarcie krypty, jednak gdy próbujemy to zrobić zdradziecka Kawaleria Berg otwiera do nas ogień. Wywiązuje się krótka, acz dynamiczna i zacięła walka. Siły KB zostają zneutralizowane. Idziemy otworzyć kryptę - z której wychodzą wielkie i obrzydliwe supermutanty! Walczymy dzielnie, ale one nieustraszenie prą na nasze pozycje. Musimy się wycofać i przegrupować. Kończy się amunicja. Decyzja może być tylko jedna - odciągamy mutanty od krypty i sami się tam zamykamy. Wewnątrz udaje nam się znaleźć tunel, którym wychodzimy poza mury miasta.

I tak kończy się LARP. Dzielimy się wrażeniami, imprezę kończymy rytualnym paleniem namiotu. Zbieram moją załogę i ruszamy do TRICITY przez całą drogę wspominając klimatyczne akcje.

WIELKIE DZIĘKI za kilogramy klimatu i dobrej zabawy. Kogo nie było - niech żałuje! :) ☼

Chewie



R#7 - Historia w zdjęciach: Japoński raport, opisujący skutki bombardowania Nagasaki, porównał zgliszcza do "cmentarza, na którym nie ocalał nawet jeden nagrobek".

===== WARNING !!! =====
 ===== EMERGENCY EVACUATION PROTOCOL INITIATED =====

checking artificial systems <100% done>
 lifescan <100% done>

ARTIFICIAL SYSTEMS CONDITION REPORT:

motoric structure.....	26 %
CPU	4 %
artificial memory	2 %
central control system	6/7
enhanced life systems	32 %
hyper-perception matrix	2 %
enhanced touch sensors	8 %
radiation sensors	not detected
integrated weaponry	not detected
additional power sources	not detected
additional work modules	not detected

BIONICAL SYSTEMS CONDITION REPORT:

overall bone structure	98 %
overall muscles structure	58 %
brain	98 %
spinal cord	99 %
lymphatic system	97 %
cardiovascular system	100 %
nervous system	98 %
digestive system	84 %
vision sensors	83 %
sound sensors	93 %
touch sensors	94 %

body temperature	28 C
brain temperature	30 C
heart temperature	31,5 C
pulse	60/min
blood pressure	100/60

ALL PRIMARY LIFE SYSTEMS ARE WORKING PROPERLY..

-----INITIATING EMERGENCY AWAKENING PROTOCOL-----

STAGE 1 - CARDIOSTIMULATION

* cardiostimulant injection completed successfully
 * adrenaline injection completed successfully

Summarize:

-pulse increased to 80/min
 -blood pressure increased to 120/80

STAGE 2 - BODYWARMING

Shutting down all kriogenic systems..... completed successfully
 * turning on warming process completed successfully
 * task will be done in: 00:32:47

Sumarize:

-current body temperature 28,1 C and increasing
 -current brain temperature 30,2 C and increasing

STAGE 3 - BRAIN STIMULATION

* core stimulants injection completed successfully

Sumarize:

-current brain activity BA34/644/231/18D
 -abnormality not detected

please wait

Gdzie ja jestem? Ciemność ... Ból ... Pustka ... Nic nie pamiętam.

Czuję przeszywające zimno ...
Ta cisza ... nie słyszę nawet własnego serca ...
Co się stało? Czemu nie mogę otworzyć oczu? Ten ból ...
Czy to sen? Czuję jak odpływam ... w koszmara ... w czerń ... nicość znowu mnie pochłania ...

WARNING!!! WARNING!!! WARNING!!!

EMERGENCY AWAKENING PROTOCOL FAILED!!!

FATAL ERROR

Not enough energy to complete the process.
Medium risk of killing object alfa38495-DREV.

Aparature will be restarted in: 00:00:21

•
•
•
•
•

Restarting life-support aparature. Please wait ...

login: 378499D

password: *****

automatic login correct

automatic password correct

ACCESS GRANTED

Resuming all systems ...

Redirecting energy sources ...

Checking aparature integrity ...

resuming EMERGENCY AWAKENING PROTOCOL ...

---==INITIATING EMERGENCY AWAKENING PROTOCOL==---

scanning object alfa38495-DREV

please wait

Pomieszczenie czyste! Ruszać te pierdolone dupy! Alfa pomieszczenia laboratoryjne. Beta prawy korytarz. Uważać! W dalszej części podłoga może być pod napięciem. Nie chcę mieć dziś trupów w oddziale. Sierżancie! Obstaw swoją drużyną prawy moduł budynku. Tutaj mogą być boty strażnicze. Jeśli odetną nam drogę powrotną będziemy mieć totalnie przesrane.

– Rozkaz Sir!

– Alfa raport.

– Tu Alfa.

Laboratoria czyste. Sporo tutaj przedwojennej technologii. Mieli badać broń, a tymczasem wszystko dookoła wygląda jak jakiś szpital połączony z pracownią elektroniczną. Cholera go wie do czego to wszystko służyło. Potrzebujemy technika.

– Technik grzebie w komputerach głównej serwerowni. Będzie u was dopiero za jakieś 15 minut. Zabezpieczcie perymetry obronne na wychodzących korytarzach. Aha... i bądźcie ostrożni. Gdy wszedł przed chwilą do systemu zarządzania energią strzeliła konsola. Z jednostki centralnej poszły iskry, a system odpalił jakieś procesy. Potem jeden z komputerów padł. Mieście oczy z tyłu głowy.

– Zrozumiałem. Wykonuję.

– Beta do dowódcy.

– Odbiór.

– Brak zabezpieczeń. Korytarz czysty. Na końcu było otwarte pomieszczenie... powinien Pan to zobaczyć Sir.

Wysoka, długowłosa postać odbezpieczyła kałasznikowa.

– Przyjąłem. Zaraz u was będę.

Jasnozielone, awaryjne światła ciasnego korytarza smagały jedno po drugim przed oczami biegnącego mężczyzny. Szybki, kilkudziesięciosekundowy bieg przez stumetrowy korytarz zdawał się trwać wiecznie. Stukot wojskowych butów o metalową podłogę był jedynym dźwiękiem który rozrywał grobową ciszę ...

Z pokoju dobiegało drażniące oczy czerwone światło zasilane z awaryjnych generatorów które udało się odpalić bractwowemu technikowi. Okrywało one laboratorium, a przynajmniej coś co wydawało się nim być. Pomieszczenie o powierzchni zaledwie stu metrów kwadratowych skrywało w sobie osiem dużych, cylindrycznych, szklanych zbiorników z podpiętymi do tajemniczej maszynierii ciałami w środku. Wszystkie były zanurzone w przezroczystej, bionicznej cieczy. Dookoła rozciągały się stacje z różnymi terminalami i maszynierią monitorującą funkcje życiowe. Większość z nich jednak milczała. Jedynie dwie pokazywały równomierne bicie serca

i bardzo niską jak dla człowieka temperaturę ciała. Stacje komputerowe które znajdowały się na środku i zajmowały sporą część pomieszczenia także milczały. Po przeciwnej stronie pokoju były drugie drzwi, które zostały otwarte i obstawione przez dwóch braci z drużyny Alfa. W oddali mrocznego korytarza widać było silne światło flar chemicznych, które w razie ataku z tamtej strony oświetlałoby dokładnie perymetr dając żołnierzom dużą szansę na celny ogień i rozniesienie na kawałki większości typów botów obronnych.

– Sir! Jeden z tej dwójki chyba się poruszył.

Postać z kałasznikowem natychmiast podeszła do wyznaczonego zbiornika kriogenicznego. Wewnątrz znajdował się mężczyzna w wieku około dwudziestu lat. Niezliczone ilości igieł i przewodów podpiętych do jego kręgosłupa, głowy i całej reszty ciała lśniły delikatnie w blasku awaryjnych, krwistoczerwonych światel. Spod maski tlenowej na twarzy wydobywały się niewielkie pęcherzyki powietrza. Nagle coś drgnęło. A może to było tylko złudzenie ...

– Sir, cokolwiek to jest nie powinno zostać po naszym wyjściu przy życiu. To wszystko wygląda jak wielka, pieprzona fabryka mutantów.

Kardiograf przyspieszył ...

```

scanning aparature ..... done
checking power supplies level ..... done

aparature condition - functional
power supplies - level 4a
all systems are working properly
initiating object alfa38495-DREV lisesystems scan

checking object alfa38495-DREV lisesystems ..... done

Raport:
Life-support aparature integrity ..... sustained
Kriogenic aparature integrity ..... sustained
Object alfa38495-DREV integrity ..... sustained

complementing FIRST AWAKENING PHASE ..... done
starting SECOND AWAKENING PHASE ... 78,2% done_

starting SECOND AWAKENING PHASE ..... 100 % done

===== WARNING!!!=====
===== 2ND PHASE INITIATED =====

disconnecting all monitoring systems from object alfa38495-DREV... done
disconnecting all sygerine systems from object alfa38495-DREV..... done

removing bio-fluids ... time remaining: 00:00:12 ..... done

opening alfa38495-DREV incubation tank ...

```

Z odbioru rozległ się cichy trzask.

– Technik do dowódcy. Kończę pobieżne przeszukiwanie baz danych. Budynek który właśnie przeszukujemy należy do kompleksu laboratoryjnego w którym podczas wojny pracowano nad przeprowadzaniem kontrolowanych mutacji u ludzi i wszczepami cybernetycznymi. Wszystkie pozostałe budowle w pobliżu z tego co widzieliśmy zostały zniszczone. W archiwach nie ma nic konkretnego na ten temat. Najwyraźniej wszystko zaszło tak szybko, że nie było komu nawet zrobić raportu. Ogólnie cała ta maszynaria jest na skraju ruiny. Z tego co udało mi się wydobyć z komputera można wywnioskować, że eksperymenty nigdy nie zostały w pełni zakończone. Najwyraźniej wszystko było we wczesnej fazie rozwoju, gdy całą bazę trafił szlag. Co ciekawe w systemie nie ma żadnej wzmianki na temat jakiegokolwiek ewakuacji. Wygląda na to, że główny komputer nadal działa jak gdyby nigdy nic się nie stało. Nie wiem, czy to wina braku inicjacji odpowiednich procedur z powodu pośpiechu czy też błąd systemu. Brak aktywności trwał póki nie poszedł ten pieprzony terminal. Zdaje się, że odpaliliśmy procedury ewakuacyjne cokolwiek to ma do jasnej cholery oznaczać.

– Dobra robota. Jak tylko skończysz idź do chłopaków w pomieszczeniach laboratoryjnych w północnej części budynku.

– Tak jest. Bez od...

– O kurwa ...

Dźwięk dehermetyzowanego inkubatora rozdarł ciche, miarowe piszczenie przyrządów pomiarowych a przedwojenny system nagłaśniania pomieszczeń starego laboratorium wydał z siebie komunikat poprzedzony potężnym, drażniącym uszy piskiem.

UWAGA !

PROCES AWARYJNEGO UWALNIANIA ŻYWYCH OBIEKTÓW ZAKOŃCZONY. PERSONEL MEDYCZNY JEST PROSZONY O NATYCHMIASTOWE PRZENIESIENIE PRZEDMIOTÓW BADAŃ Z MODUŁU KRIOGENICZNEGO DO POJAZDÓW EWAKUACYJNYCH.ZGODNIE Z ROZKAZEM NR 21942 MAJĄCYM NA CELU ZACHOWANIE BADAŃ W CAŁKOWITEJ TAJEMNICY URUCHAMIA SIĘ PROCEDURĘ SAMOZNISZCZENIA. DO EKSPLOZJI ZOSTAŁO 10 MINUT.

Twarz długowłosego mężczyzny nie zdradzała żadnych emocji. Spojrzawszy na żołnierza przycisnął niewielki przycisk na swoim pancerzu i nadał komunikat.

– Do wszystkich jednostek. Bierzcie co się da i wypierdalać. Macie pięć minut na

zebranie jak największej ilości laboratoryjnego sprzętu. Wszelkie medykamenty mają oczywiście pierwszeństwo. Potem zgarniajcie jak leci. Za siedem minut chcę widzieć wszystkich przed głównym wejściem.

Resztki biopłynów wylewających się z inkubatora lekko migotały w świetle lamp awaryjnych. Drażniący, mdły zapach chemikaliów kompletnie zagłuszył delikatną, wilgotną woń która dotychczas towarzyszyła temu pomieszczeniu. Żołnierz stojący najbliżej otwartego inkubatora spojrzał na niego, a następnie umoczył palce w bionicznej odżywcze tuż obok nieruchomego ciała w komorze.

– Sir. Co robimy z tą obślizgłą kupą bionicznego złomu?

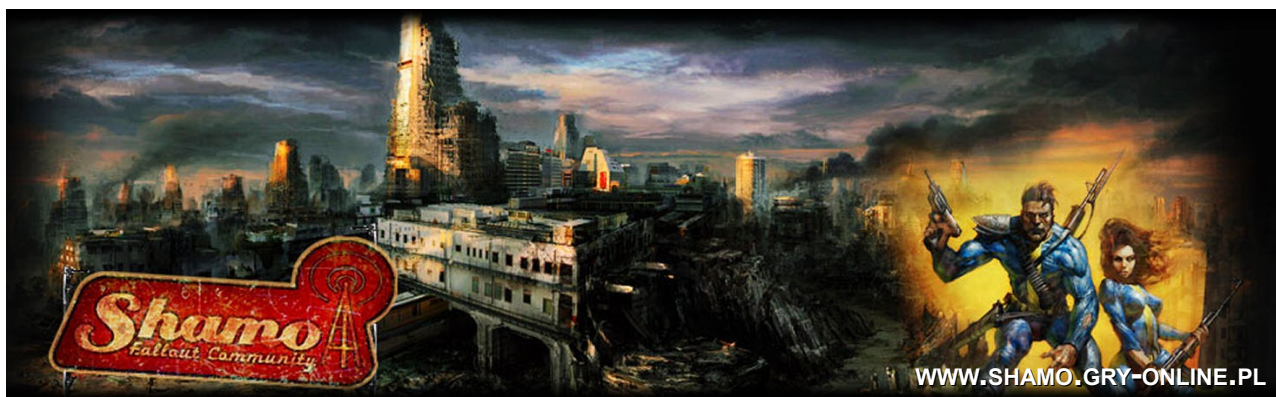
– Zabierzcie go. Jeśli zacznie się zachowywać agresywnie zastrzelcie. Zbadamy go w bazie. Kto wie, może powie nam coś ciekawego. Wyślijcie sierżantów jednego ze swoich ludzi na górę aby poodpalał pojazdy. Gdy zrobicie tu już porządek wywołajcie po kolei wszystkich członków drużyny. Nie chcę, aby ktoś został z tyłu.

– A co z tym w drugiej puszcze?

– Zostawcie go. Nie mamy na to czasu.

– Tak jest Sir. ☺

Revrael



Chłopiec i jego pies

Suplement

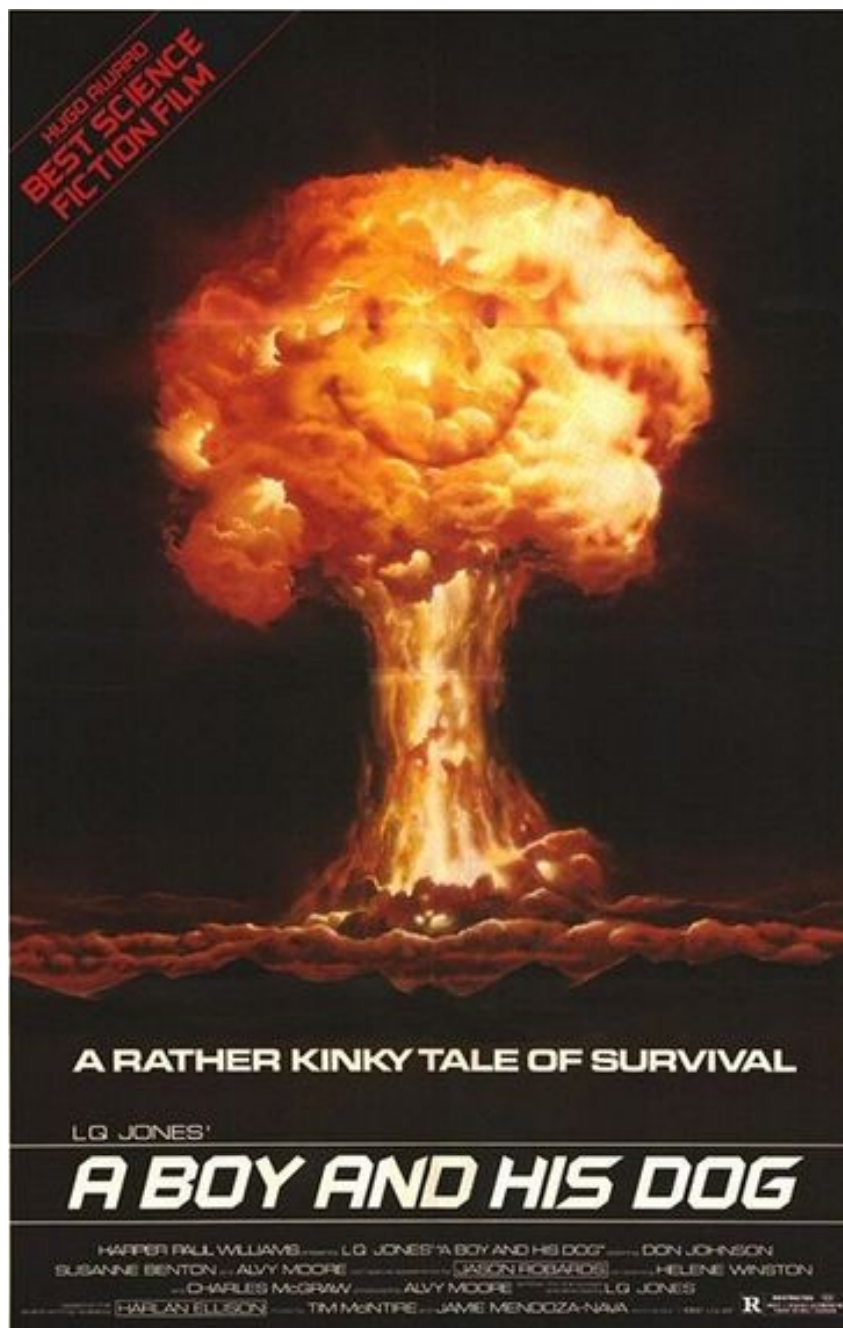
Przeczytałem w poprzednim Reaktorze krótki opis książki pt. „Chłopiec i jego pies” (ang. „A boy and his dog”). Saladyn wspomniał tam, że został nakręcony film pod tym samym tytułem. Kilka dni przed wypuszczeniem Reaktora #6 redagowałem na Cornerze artykuł, w którym również Heimao pisała na temat owego filmu. Muszę przyznać, że zaciekał mnie na tyle, że postanowiłem ów film obejrzeć. Tak też zrobiłem, więc czuję się na obowiązku trochę Wam ową produkcję przybliżyć. O dziwo znalezienie filmu w Internecie, z możliwością darmowego oglądnięcia, nie było trudne. Upatrzyłem sobie stronkę...

(<http://www.liketelevision.com/liketelevision/tuner.php?channel=229&format=movie&theme=guide>)

..., gdzie całkowicie legalnie i darmo można zobaczyć „Chłopca...” i postanowiłem zapoznać się z jej zawartością. Jakość nie jest może zabójcza, no i co ok. 22 minuty musimy obejrzeć krótkie reklamy, ale darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Oczywiście przydałoby się znać język angielski, bo jest to wersja oryginalna.

Akcja rozgrywa się w świecie po IV (tak jest – czwartej) wojnie światowej, która trwała jedynie 5 dni. Element kilkakrotnie podkreślany podczas całego filmu i muszę przyznać, że dający do myślenia – cała nasza cywilizacja zniszczona w pięć dni... Czemu czwarta wojna światowa, a nie trzecia? Ano, w filmie nie jest to szczegółowo wyjaśnione, może w książce napisano coś na ten temat – niestety, jej nie dane mi było przeczytać. Jedno jest pewne – skoro trzecia wojna światowa nie wystarczyła do zniszczenia cywilizacji, ludzie potrzebowali następnej. No, ale dość tych gdybań. Świat, który oglądamy, jest zabójczy i prosty zarazem. Liczy się tylko to by przeżyć kolejny dzień, a najbardziej pożądanymi towarami są jedzenie i kobiety. Nie przez przypadek kobiety nazwałem „towarem” – jeśli zobaczycie film, przekonacie się, że w niektórych miejscach jest nieco szowinistyczny. Sprawa jest prosta: gdy mężczyźni walczyli na frontach, kobiety i dzieci zostały w miastach, które zostały anihilowane ładunkami nuklearnymi. Wskutek tego wojnę przeżyło więcej przedstawicieli płci brzydkiej.

Tak samo, jak Harlan Ellison w książce, L.Q. Jones przedstawia nam perypetie Vica i jego psa Blooda. Blood nie jest zwykłym zwierzęciem, ale o tym pisał Saladyn



w poprzednim Reaktorze. Nie wspomniał jednak o tym, że przed wojną powstało wiele zwierząt typu Blooda. Miały one wspomagać ludzi w różnych czynnościach. W nowej rzeczywistości taka para: człowiek – pies to zabójczy duet. Lecz pies nie jest potrzebny tylko do zabijania i pomagania w przetrwaniu. Vic, który ma 18 lat, wyko-

rzystuje swojego partnera w nieco ciekawszym celu. Jak już wspomniałem, jedzenie i kobiety to cenne towary. Pies znajduje je znacznie łatwiej niż człowiek. A Vic to pies na baby. Nie trzeba chyba wspominać, że są mu one potrzebne tylko do rozładowania napięcia seksualnego. Nie obawiajcie się jednak, to nie jest film pornograficzny.

Na początku mamy kilka scen rodem z postapokaliptycznej pustyni. Banda oprychów wykopująca puszkę z jedzeniem, walki z bandytami i obóz, w którym zbierają się ludzie tacy jak Vic i zwierzęta, jak Blood, by pooglądać stare filmy – oczywiście z nagimi kobietami. Właściwa akcja filmu zaczyna się w chwili gdy Blood znajduje pewną damę. Nazwijmy ją Zdobyczą – chyba tak dwójka głównych bohaterów nazywa kobiety. Jest to kobieta z klasą, mieszkanka podziemnego schronu. Niemal natychmiast sprawia, że nieokrzesany Vic zaczyna się rumienić, a niewiele więcej czasu potrzeba jej by go uwieść. Oczywiście, jak na prawdziwą damę przystało, znika przed świtem, gdy kochanek jeszcze śpi i wraca do siebie. Chłopak rusza za nią pod ziemię. Musi przy tym zostawić na powierzchni swego jedynego przyjaciela – psa, który wychowywał go przez 18 lat. Scena pożegnania dwóch głównych bohaterów pokazuje nam, że w tym innym świecie między człowiekiem a zwierzęciem rodzi się coś, co można nazwać prawdziwą przyjaźnią, a może nawet czymś więcej?

W pogoni za Zdobyczą Vic trafia do podziemnej społeczności, którą mógłbym określić jako ogromny zakład dla obłąkanych. Widać, że lata siedzenia pod ziemią odcisnęły na tych ludziach swoje piętno. Każdy z żyjących w podziemnym schronie maluje sobie twarz na białą i zaznacza usta jaskrawo czerwonym kolorem. Na początku myślałem, że jest to charakterystyka, dzięki której chciano uzyskać efekt cery, jaką posiadać by mogli ludzie przez większość życia nie widzący światła słonecznego. Ale po pewnym czasie widać wyraźnie, że to po prostu nowa moda, jaka rozwinęła się w tej odizolowanej społeczności. Okazuje się, że z jakiegoś dziwnego powodu wszyscy mężczyźni są tu bezpłodni. Vic dostaje więc ofertę zapłodnienia wszystkich kobiet. I na tym film mógłby się w sumie skończyć, bo to przecież rozwiązanie idealne dla naszego bohatera. Problem w tym, że jak się później okazuje, ma to zrobić pośrednio – krótko mówiąc seksu nie będzie. Z pomocą przychodzi Zdobycz. Ostatecznie zakochani uciekają na powierzchnię, gdzie Vic znajduje umierającego z głodu psa. Kochany zwierzak czekał wiernie na swego partnera.

Nadchodzi czas na zakończenie, które jest niewątpliwie znakiem charakterystycznym filmu. Chłopiec musi wybierać między miłością do swojego mentora, a kobietą. Brzmi jak zakończenie innego filmu postapo – w "Water World" Costner musiał wybierać między ukochaną, a bezkresnym oceanem. Jednak w tym przypadku zaistniała sytuacja wymusza inny sposób rozwiązania dylematu. I nie jest to decyzja tak prosta.

Wypadałoby powiedzieć coś na temat gry aktorów. Najlepszym aktorem był niewątpliwie pies. Ale nie oznacza to, że

reszta aktorów źle się spisała. Po prostu ten zwierzak był genialny, jak i człowiek który podkładał mu głos. I gra psa, i kwestie zgrywają się tak idealnie, że czasami wydaje się, iż Blood naprawdę potrafi się komunikować telepatycznie ze swym panem. Ponadto, często wydaje się bardziej ludzki niż Vic, grany przez Dona Johnsona. W tym filmie to Blood jest ostoją rozsądku i to on dba o przetrwanie naszej dwójki. Vic jest bardziej zwierzęcy niż pies – zjeść, znaleźć kobietę, to jego cele życiowe. Postać Vica, charakteryzuje się za to świetnie dobranymi do sytuacji kwestiami. Przykład: podczas strzelaniny chłopak krzyczy do psa: „Run like a son of a bitch!”. Susanne Benton, która gra Zdobycz, to inna bajka. Doskonale zagrała kobietę przebiegłą, piękną, która natychmiast owija sobie Vica wokół palca. Niestety dla niej, niezbyt skutecznie, jak się okazuje na końcu. Ciężko mi oceniać jej kunszt aktorski, bo zbyt wiele okazji do tego nie ma, ale za każdym razem, gdy pojawia się na ekranie jest miłym urozmaicheniem.

Podobno gdyby nie ten film nie byłoby „Mad Maxów”, a jak wiemy bez „Szalonych Maxów” nie byłoby Falloutów. Bez Falloutów, z kolei, nie byłoby polskiej sceny postapo (a już na pewno nie byłaby tak liczna jak teraz). Dlatego myślę, że przynajmniej z tego powodu należy film zobaczyć. Oczywiście nie jest to jedyny powód, bo film jest... inny. Nie ma oszałamiających efektów – nie te lata. Dla współczesnego odbiorcy jest raczej archaiczny – szczególnie charakterystyka ludzi w schronie. Ale ma to „coś”, co znam z Falloutów – ten ironiczny, nieraz niepoprawny politycznie humor. Niewątpliwie nie jest to film, który ogląda się tylko po to, by się rozzerwać. Trzeba dopatrywać się w nim czegoś głębszego, jednak bez przesady, bo popsuje sobie przyjemność oglądania. Nie bez powodu plakaty reklamowe były opatrzone tekstem „A rather kinky tale of survival”. I chyba właśnie te słowa są najlepszym opisem „Chłopca i jego psa”. ☹

Deat(c)hclaw

UltraViolet

Twórca bardzo dobrego „Equilibrium” serwuje nam kolejną dawkę widowiskowych strzelanin oraz walk przy użyciu mieczy. Tym razem głównym bohaterem jest, grana przez Millę Jovovich, wampirzyca – Violet. W świecie przyszłości zdominowanym przez korporacje krwiopijcy – zwani tutaj hemofagami – są zdecydowaną mniejszością zmuszoną do działania w ukryciu. Wampiryzm jest swego rodzaju wirusem dającym zarażonemu nadludzkie zdolności, a jednocześnie czyniącym go wrażliwym na pewne bodźce, np. światło słoneczne. Violet jest agentką jednego z gangów.



Pierwszą misją, którą możemy śledzić jest przejęcie i ewentualne zniszczenie nowej broni przeciwko wampirom. Dobry plan wali się w gruzy i wszystko wymyka spod kontroli, gdy Violet zagląda do walizki z bronią i znajduje w niej... chłopca. Ponieważ w przeszłości straciła dziecko, budzi się w niej instynkt macierzyński i wykrada chłopaka. Teraz ma przeciwko sobie wszystkich. Nie wie nawet, jaka tajemnice skrywa uratowany...

Film... rozczarowuje. Niestety, nie łatwo było przeskoczyć poprzeczkę ustawioną bardzo wysoko przez „Equilibrium”, na tle którego „UltraViolet” jest zwyczajnie wtórny. Główna bohaterka jest zdecydowanie przesadnie napakowana (Milla po raz kolejny, po serii „Resident Evil”, wciela się w rolę heroiny niemal zdolnej wybijać planety z orbit „z główki”), a choreografia i niektóre rozwiązania są żywcem przeniesione z poprzedniego filmu Kurta Wimmera. Na uwagę zasługuje pomysł międzywymiarowych kieszeni, dzięki którym jedna osoba, nie obciążając się może mieć natychmiastowy dostęp do arsenału całej armii. To samo tyczy się generatora grawitacji. Ale to tylko gadżety, a sama fabuła jest niestety drętwa. Cokolwiek by się stało, wampirzyca pozostawi po sobie krwawy ślad i jedyne pytanie brzmi: jak tym razem zginą wrogowie? O ile w normalnych produkcjach inwencja twórcy głównego bohatera w kategorii: „eksterminacja wrogów” może być naprawdę ciekawą częścią filmu, o tyle w tym przypadku, z powodu wyżej wspomnianych gadżetów, przechodzi praktycznie wszystko. Z kolei to sprawia, że film jest wybitnie mało interesujący. Można go obejrzeć z nudów w deszczowe popołudnie, ale nie spodziewajcie się dzieła wysokich lotów – to tylko luźno połączone sceny walki. ☹

Saladyn

Chorwacja

Wybór fotografii autorstwa Case, wykonanych podczas wyprawy do Chorwacji w czerwcu 2008. Przedstawiony kompleks hotelowy mieści się w Plat, nieopodal Dubrownika.



1. Ambassador: Nasz dom znajdował się zaraz obok wielkiego, zrujnowanego hotelu.



2. Hotel Ambassador z zewnątrz: Po prostu miódzio – dziesiątki, jeśli nie setki, opuszczonych pokoi – było co zwiedzać. Zniszczone kuchnie, stare skrytki i sejfy, rozwalone windy, tor do gry w kręgle, ogromne tarasy, łazienki – tam nie ma złomiarzy, więc wszystko sobie ładnie leży na miejscu.



3. Skrytki dla gości i sejf: Już myślałam, że nic lepszego mi się tam nie trafi, ale ostatniego dnia pobytu udało mi się wypatrzeć z daleka jakieś opuszczone budynki.



4. Hotele: Załatwiłam transport samochodem i ... natknęłam się na coś po prostu niebywałego – ogromny kompleks kilku opuszczonych hoteli! Niesamowite to było! Każdy budynek był w innym stylu – od przeznaczonych dla klasy średniej do takiego full lux hoteliku/pałacyku. Nie wiem, czy fotki oddają klimat tego miejsca – chyba nie. Po prostu trzeba wejść w tą przestrzeń i poczuć to samemu. Dodam tylko, że nigdy nie widziałam lepszej lokacji do nakręcenia filmu postapo.



5. Widok na całą okolicę, wszystkie budynki są opuszczone.



6. Wejście do pierwszego z hoteli.



7. Zniszczony klub hotelowy.



8. Raj, czy piekło?



9. Kiedyś to był ekskluzywny hotel...



10. Recepcja.



11. Sala balowa i schody jak w Tytanicu. ;)



12. Ostatni zwiedzany przez nas budynek - tu był hardcore...



13. ...bo budynek był w naprawdę złym stanie.



TØYSONE
Bruk hørselvern



HJELMSONE
Bruk vernehjelm

